Nr. 171. Lwów — Sobota dnia 29 Lipca. Rok 1905.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy zabaw i zebrań prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, dementi i sprostowania prywatne się przyjmuje w administracyi jako ogłoszenia płatne.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: Sob. św. Marty P. Atenogenesa
Jutro: Niedz. św. Abdona Maryny M.
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Rękopisów Redakcya nie zwraca.
Wschód słońca o godz. 4 m. 37 Zachód „ 7 m. 33
Długość dnia godzin 14 m. 56 Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Sprawa szląskich seminaryów.

Kierownik rządu krajowego na Szląsku radca dworu Marenzeller przedstawił osobiście ministrowi oświaty wniosek w sprawie polskich i czeskich klas paralelnych przy niemieckich seminaryach nauczycielskich w Cieszynie i Opawie. Wiadomo, że wszędzie w Austryi, gdzie tylko ma powstać nowy zakład naukowy z językiem wykładowym nie niemieckim, natychmiast podług szablonu oświadczają Niemcy, że może on być założony wszędzie, jeno nie tam, gdzie chce rząd, i nie tak, jak on zamierzył. W szeregu przeszkód, stawianych przez Niemców każdej szkole, zakładanej nie dla nich, to jest ich ostatnia przeszkoda. Tę taktykę zastosowali oni w roku przeszłym do obu słowiańskich paralelek na Szląsku. Narobili wtedy wielkiego hałasu, urządzali krzykliwe demonstracye, jeździli z groźbami do Wiednia, włóczyli się po Opawie z pruskiemi chorągwiami, wyklinali prezydenta krajowego hr. Thuna i dla pokazania swego patryotyzmu śpiewali „Wacht am Rhein“. To wszystko pomogło im o tyle, że jeszcze dr. Koerber przyrzekł przenieść paralelki do innych miast na Szląsku, jeżeli rząd krajowy uzna to za możliwe, a obie narodowości pogodzą się na tym punkcie. Baron Gautsch przyjął to zobowiązanie swego poprzednika z dobrodziejstwem inwentarza. Taką jest przeszłość sprawy, którą kierownik rządu krajowego na Szląsku przedstawił ministrowi oświaty. Opawska rada szkolna uznała, że czeskie paralelki przy niemieckiem seminaryum nauczycielskiem mogą być przeniesione z Opawy do Polskiej Ostrawy i tam istnieć jako całkiem odrębny zakład z osobną dyrekcyą. Otóż Niemcom znowu to się teraz niepodoba, ale już dlatego, że to będzie odrębna szkoła, nie zaś przyczepek do niemieckiej; lecz ich niezadowolenie dopiero zaczęło się objawiać pomrukiem niewielu; agitacya jeszcze się nie rozbujała i może ucichnie. Natomiast gniewają się Czesi, ale nie szląscy, jeno prascy. I cóż ich dotknęło? Oto, rada szkolna szląska, załatwiwszy sprawę seminaryum czeskiego, o polskiem tak orzekła: Również i w Cieszynie niemiecka ludność życzy sobie, aby polskie paralelki były stamtąd przeniesione gdzieindziej, lecz nad tem rada szkolna jeszcze się nie zastanawiała, a więc i rząd krajowy nie przedstawia żadnego wniosku. Sprawa ta będzie rozpatrywana dopiero na początku roku szkolnego.

Otóż Czesi widzą w tem jakieś upośledzenie. Jeżeli ich szkołę przenoszą dla zrobienia przyjemności Niemcom, to niech przeniosą także szkołę polską. To w imię równego traktowania kochanych braci Słowian. Gniewa się nawet umiarkowany dziennik *Politik*, podejrzywając radę szkolną szląską, że wcale nie myśli przenosić polskiej szkoły z Cieszyna, co byłoby większą grzecznością dla Polaków, aniżeli dla Czechów. Tego nie może znieść słowiańskie braterstwo!

I ono zawadza, kiedy chodzi o wprowadzenie bodaj jakiegoś spokoju w zawichrzonej niesnaskami Austryi! Co do nas — o zaszczyty nam nie chodzi, lecz o istotny pożytek ze szkoły. Sami Niemcy od początku o wiele mniej atakowali naszą szkołę, aniżeli czeską, a to, jak sądzimy, z dwóch powodów: najpierw dlatego, że dbając o swe interesa, nie mamy zwyczaju nastawać na niemieckie, nie uważamy szkół za posterunki polityczne, jeno za ogniska oświaty i nigdy nie traktujemy Niemców, jako wrogów; następnie zaś dlatego, że Cieszyn jest naprawdę przeważnie polskiem miastem, przynajmniej nie ma na Szląsku bardziej polskiego, natomiast bardzo trudno byłoby rozstrzygnąć, jaką przeważnie jest Opawa: czeską, czy niemiecką? Jeżeli sięgniemy w głąb dziejów, to powiemy, że jest piastowską; jeżeli obliczymy jej teraźniejszą zasobność, to większy będzie majątek niemiecki, a jeżeli zrachujemy robotników, to będzie ich najwięcej czeskich. W każdym razie nie można stawiać na równi Opawy i Cieszyna. Ale nadewszystko po co tak mozolnie szukać zwady?

Położenie na Węgrzech.

Dziennik *Egyetertes* wyrządził swemu krajowi i p. Wekerlemu wielką psotę. Doniósł mianowicie, że „największa finansowa powaga w kraju“ powiedziała mu takie rzeczy, które tylko zachęcają opozycyę węgierską do wytrwania w politycznym strejku. Pojawiło się to oświadczenie właśnie wtedy, gdy opozycya poczęła się zastanawiać, ażali nie byłoby rozsądniej zaniechać agitacyi za niepłaceniem podatków, bo to może doprowadzić do bankructwa i wydalenia mnóstwa urzędników, powołanych do odbierania podatków i składania ich rządowi, a nie jakimś innym instytucyom, bo to zakrawa na defraudacyę. Pojawiło się to oświadczenie jeszcze wtedy, gdy rzeczy tak się układały, że po powrocie ministra Fejervarego z Karlsbadu miały się zacząć rokowania jego z wodzami opozycyi, aby przecież doprowadzić do jakiego porozumienia i ładu. Skoro największa finansowa powaga oznajmiła, że niepłacenie podatków zmusi niebawem Koronę do kapitulacyi przed opozycyą, to jasną jest rzeczą, że opozycya nie potrzebuje myśleć, pracować, roztrząsać sumienia patryotycznego, — wystarczy jej nic zgoła nie robić, a wtedy zwycięży.

Więc opozycya już jęła wołać, że zdrajcą ojczyzny będzie ten urzędnik, który przyjmie podatek od obywatela; jeżeli „uzurpatorski“ rząd go wydali, będzie mu to przez sejm powetowane; aby zaś urzędnicy otrzymywali swoją pensyę regularnie, poczęli członkowie opozycyi składać się i tworzyć kapitały, z których owym urzędnikom ma być w razie potrzeby wypłacana gaża.

Ową „największą finansową powagą w kraju“ ma być p. Wekerle, były prezes gabinetu, były minister kolei i minister finansów. On jest na Węgrzech uważany za największą głowę finansową, więc jemu przypisano to, co podał *Egyetertes*. Lecz inne powagi, już widocznie mniejsze, bo zarekomendowane w dziennikach, jako tylko „finansowe osobistości“, zaświadczyły, że chyba nie dr. Wekerle pouczał redakcyę *Egyetertesa*, bo w jego wykładzie błąd na błędzie, po prostu grube omyłki cyfrowe, których nie mógł popełnić człowiek choć trochę znający się na rzeczy. Ale cóż znaczą jakieś tam „finansowe osobistości“, mówiące nie tak, jak chce opozycya, kiedy „największa finansowa powaga w kraju“ zachęca opozycyę! Z nią się zgadza ta powaga, a zatem oczywiście jest rozumna i ma słuszność!

A oto mówiła ta „największa w kraju finansowa powaga“, że w kasach rządowych jest tylko 90 milionów koron, z tego jednak zaledwie 50 milionów może wziąć rząd na bieżące potrzeby. Dochód z podatków przyniesie nie wiele; wynosi on teraz mniej niż trzecią część zwykłego dochodu. Zatem za parę miesięcy rząd będzie miał niedoboru mniej więcej 60 milionów koron. To jeszcze nic nie znaczy, bo można będzie wziąć na weksel krótkoterminowy; wszakże tak często się robi. Ale 1-go listopada trzeba będzie dać na kupon od renty węgierskiej odrazu 120 milionów koron, a ich nie ma skąd wziąć. Więc jedno z dwojga: albo ogłosić bankructwo, co przecież jest niemożliwe, albo wypuścić na taką kwotę banknotów, co zrujnuje dokonaną regulacyę waluty, która w ten sposób przestanie być złotą. Oczywiście, na to nie zgodzi się Austrya, lecz nie zgodzą się także akcyonaryusze banku austro węgierskiego i wdrożą przed sądami proces z państwem o złośliwe uszkodzenie ich majątku. Z tego więc powodu Korona musi ustąpić, musi przystać na wszystkie żądania opozycyi!

„Mam wrażenie — rzekła ta największa powaga, nazywana gdzieniegdzie przez *Egyetertes* excellencyą — mam silne wrażenie, że Król już bez słowa przystałby na węgierską komendę, gdyby jeno otrzymał rękojmię, że nowy porządek, stworzony nową ugodą austro-węgierską, potrwa bez zmiany przynajmniej tyle, co ugoda z roku 1867-ego, a zatem lat 30, albo 40. Jeżeli koalicya opozycyjna może dać Królowi takie zapewnienie i przyrzec mu, że jej teraźniejsze żądania nie są szczeblami do coraz dalszych, to — jestem przekonany! — w ciągu 24-ech godzin będziemy mieli węgierską komendę. Bo to wszystko są bajki, jakoby arcyksiężęta i szef sztabu głównego baron Beck stanowczo przemawiali przeciw węgierskiej komendzie. Z Królem mówi się tylko o tem, o czem on sam chce mówić. Pod tym względem dla nikogo nie ma wyjątku. Wiem o tem bardzo dobrze, proszę to uważać za fakt niezbity. W tej kwestyi jeżeli może kto podziałać na Króla, to chyba tylko sejm węgierski. Jak w r. 1867-ym, Król, nie zwracając uwagi na żadne czynniki, sam przeprowadził ugodę, tak samo zrobi on teraz, jeżeli dane mu będzie to zapewnienie, o którem wspomniałem. Według mego widzenia rzeczy, w tem jest cały węzeł. Trzeba albo go rozwiązać, albo stosownie rozciąć, a wówczas natychmiast wróci wszystko do porządku i spokoju“.

Takie wrażenie, silne wrażenie, nawet takie przekonanie ma Excellencya „największa finansowa powaga“. Cóż więc ona ma ostatecznie: wrażenie, czy przekonanie? — bo między jednem a drugiem taka różnica, jaka naprzykład między rzeczą wyrozumowaną a faktyczną. Wątpimy, żeby p. Wekerle zawiodły nietylko cyfry, ale także logika.

Lecz oprócz tego, cóż on doradza? Jest-że jakikolwiek sposób przekonać Koronę, zapewnić ją, że teraźniejsze żądania węgierskiej opozycyi nie są dla niej szczeblem do innych, kiedy one rzeczywiście nie są niczem innem? To w istocie węzeł. Sądzimy, że „największa powaga finansowa w kraju“ to nie p. Wekerle, ale po prostu któryś z publicystów, pracujących w radykalnym *Egyetertesie*, a że tej mistyfikacyi nie spostrzeżono, czy nie chciano spostrzedz na Węgrzech, w tem dla nas jedynie dowód wielkiego tam zacietrzewienia.

Korespondencye.

Wiedeń 27 lipca.

(Niemieckie Izby handlowe przeciw osiedlaniu się niemieckich fabrykantów w Austryi. Paweł Deroulède w Wiedniu. Potomek starej szlachty oskarżony o żebractwo).

(y). Od czasu jak znane są szczegóły nowego traktatu handlowego, ułożonego między pełnomocnikami Austro-Węgier a Niemiec, a mającego wejść w życie z dniem 1. marca 1906, czynią rozmaite gminy austryackie, zwłaszcza takie, które położone są w pobliżu granicy niemieckiej, usilne starania, by skłonić fabrykantów niemieckich, exportujących swoje wyroby do Austryi, a zagrożonych podwyższeniem ceł austryackich od tych wyrobów, do zakładania samoistnych fabryk na terytoryum austryackiem, przedstawiając im, że w ten sposób nie tylko utrzymają swoje dzisiejsze stosunki handlowe z Austryą, lecz znacznie je rozszerzą i przytem będą się mogli wzbogacić gdyż zagarną wszystkie zyski, wypływające z przewidzianej w nowym traktacie ochrony celnej rodzimego przemysłu austryackiego. Kilku fabrykantów niemieckich nawiązało już istotnie rokowania w tej sprawie i zamierza podobno w najbliższym czasie przystąpić do założenia własnych fabryk w Austryi. Że gminy austryackie pragną przynęcić do siebie owych przemysłowców niemieckich, to jest zrozumiałe, powstanie bowiem każdej nowej żywotnej fabryki jest dla gminy wielkiem dobrodziejstwem, przybywa bowiem nie tylko nowy kontrybuent podatkowy, zasilający kasę gminną dodatkami do podatków, ale co najważniejsza, przybywa zarazem jeden z wielkich konsumentów. Z tego więc powodu organy rządowe nie tylko nie robią żadnych trudności ich staraniom o zwabienie do Austryi niemieckich fabrykantów, lecz przeciwnie popierają je bardzo gorliwie i w tym celu austryackie konsulaty w Niemczech zbierają skrzętnie potrzebne informacye i dostarczają ich interesowanym zarządom gmin.

Akcya ta, odbywająca się od paru miesięcy w cichości, pobudziła jednak podejrzliwość niemieckich Izb handlowych i przemysłowych, które obawiają się, że takie przenosiny fabrykantów niemieckich do Austryi mają głównie na celu pozyskanie niejako modeli fabryk, podług których przemysłowcy austryaccy mogliby potworzyć konkurencyjne fabryki i nauczyć się w nich produkować tak samo dobrze i tak samo tanio jak Niemcy, ostatecznym zaś rezultatem tego może być ten, że wprawdzie kilku przemysłowców niemieckich na razie będzie robiło dobre interesa i wzbogaci się, ale cała odnośna gałąź przemysłu niemieckiego utraci pole zbytu w Austryi. Dlatego też — jak donoszą z Berlina — pruskie Izby handlowe w prowincyach nadreńskich udały się do rządu niemieckiego z przedstawieniem grożącego niebezpieczeństwa i z prośbą, aby w drodze poufnej ostrzegł wszystkie korporacye handlowe i przemysłowe w cesarstwie niemieckiem na wyżej wspomnianą akcyę i zalecił im mieć się na baczności i z zasady odmawiać konsulatom austryackim wszelkich informacyi, dotyczących produkcyi i wywozu artykułów, stanowiących przedmiot eksportu do Austryi.

Od czasu jakiegoś bawi w Wiedniu znany przywódca nacyonalistów francuskich Paweł Deroulède. Zamieszka on tu na razie na stałe i czekać będzie, aż stosunki we Francyi ułożą się po jego myśli. Wynajął tedy w śródmieściu przy Bartensteinsgasse mieszkanie złożone z kilku pokoi i urządza się w niem na dłuższy pobyt. Od półrocza roku bawił on na wygnaniu w hiszpańskiej miejscowości San Sebastian — obecnie uchwalił wprawdzie senat francuski amnestyę dla politycznych przestępców, Deroulède jednak oświadczył, że nie myśli korzystać z żadnego aktu łaski, bo ma przeczucie, że niedaleką jest chwila, w której rodacy sami go zawołają, bo będzie im potrzebny. Z San Sebastian wyjechał — jak mówi — dlatego, bo mu tam było nie dobrze, bo to za blisko Francyi, chciał więc odsunąć się nieco dalej od swej ojczyzny, by zakosztować naprawdę całej goryczy wygnania. Wiedeń wydał mu się najodpowiedniejszym punktem, bo nie jest ani za blisko, ani za daleko od Francyi, może tu więc z całym spokojem oddawać się pracy, a przytem być w pogotowiu każdej chwili stanąć we Francyi, gdy potrzeba będzie służyć republice plebiscytu. Przedewszystkiem zabierze się tu Deroulède do nauki języka niemieckiego.

Potomek starej szlachty stawał tymi dniami przed sądem powiatowym w Liesingu, oskarżony o żebranie. Nazywa się on Adolf van Swieten, a jeden z jego przodków był lekarzem przybocznym cesarzowej Maryi Teresy. Był on do tej pory urzędnikiem prywatnym i uczciwie pracował na chleb, z powodu choroby jednak stracił zarobek i popadł w nędzę. Ponieważ przenosił się często z jednego miejsca na drugie, przeto nigdzie nie nabył prawa przynależności przez zasiedzenie, nie może tedy nawet domagać się wsparcia z funduszów gminnych. Sędzia uwolnił go od oskarżenia, motywując wyrok tem, że działał on pod nieodpornym przymusem. Jeden z dzienników tutejszych rozpisał składkę dla tego biednego człowieka.

Wiadomości z Berlina.

Ze stolicy Niemiec piszą:

Jeżeli prawdą jest, co utrzymuje poeta niemiecki Scheffel, że słaby promyk nadziei większą nam nieraz sprawia przyjemność niż spełnienie tejże i sama rozkosz używania, to Berlińczycy właściwie nie wiele stracili na tem, że Jauresa osobiście nie znali i nie słyszeli. Użyli bowiem w całej pełni tych emocyj przedwstępnych, towarzyszących oczekiwaniu, tego przedsmaku, który jest przypuszczalnie lepszą połową wszech uciech ludzkich. Irytacya oczekiwania była wielką, zarówno u jego stronników, jak też przeciwników politycznych. Dopytywano się skwapliwie o miejsce zebrania, o to, gdzie i przez kogo karty wstępne nabyć można, i w jakim języku prelegent mowę swą wygłosi; sprzeczano się o wymowę jego nazwiska, które jedni wymawiali bez „s“, inni zaś poprawnie z „s“ końcowem; przemyśliwano nad tem, jakiego rodzaju trudności napotka on ze strony rządu. Różne były przypuszczenia na ten temat. Byli i tacy, którzy przeczuwali, że mu w Berlinie publicznie wystąpić nie pozwolą, i byłam sama świadkiem odpowiedzi pewnego patryoty tutejszego, brzmiącej: „Wir werden uns schon auf irgend eine Weise blamiren, aber doch nicht so stark“. Jak wiadomo, stało się jeszcze inaczej. Wielki kanclerz zabawił się znów raz w „kanclerza z żelazną ręką“ i wstrzymał tryumfalny pochód Jauresa dobrą radą, aby się nie fatygował daremnie, bo wszelkie usiłowania jego celem publicznego wystąpienia tutaj bezowocnemi by były. Uczynił to oczywiście we właściwy sobie uprzejmy sposób gentlemana, i gorzką pigułkę obwinął w miodowo słodkie komplimenta, lecz nie ugłaskał tem nawet niemieckich socyalistów, którzy na zgromadzeniu swojem, po przeczytaniu telegramu Jauresa, uchwalili jednogłośnie protest przeciw „małodusznej polityce Bülowa, niegodnej państwa kulturalnego“. Było to z ich strony do przewidzenia. Ale nawet ci, którzy nie sympatyzują z jego przekonaniami i działalnością, żałowali, że nie mogli usłyszeć tego Cycerona francuskiego, który w ojczyźnie swej niezrównaną potęgą swej wymowy czaruje i porywa najzawziętszych swych wrogów.

Zdarzyło się już nieraz w izbie deputowanych, że antagoniści jego z prawicy, klerykali i nacyonaliści, nie mogąc oprzeć się urokowi jego słów i estetycznej przyjemności, jaką one sprawiają, wraz z stronnikami jego wybuchali frenetycznymi oklaskami i okrzykami po mowach jego, korząc się mimo chęci i woli przed nim, jako przed uosobieniem geniuszu narodowego. Łatwo pojmie to, kto zna wrażliwość i zapalność Francuzów. Bardziej trzeźwi i krytyczni Niemcy, byliby pewno więcej zimnej krwi zachowali. Kto wie nawet, czy prelegent mający przemawiać w obcym sobie, niemieckim języku, nie byłby ich rozczarował. Wreszcie mała tylko część ludności tutejszej byłaby mogła uczestniczyć w zebraniu — reszta musiałaby się była zadowolić krótkiem sprawozdaniem prasy. Tak zaś mowa jego opublikowana w całej osnowie w organie socyalistycznym *Vorwärts* rozeszła się po całych Niemczech, a zakaz przyjazdu zwrócił nań uwagę i zaintrygował tych nawet, którzyby się w zwykłych warunkach o Jauresa i jego mowę wcale nie byli troszczyli. Było to dla niego reklamą, jak wogóle wszystkie zakazy i konfiskowania, bo apelują one do tego głęboko w naturze ludzkiej tkwiącego pociągu do zakazanych owoców. W tym wypadku wyglądać to jeszcze mogło jako obawa — płonna co prawda, bo przecież jedna, choćby najpiękniej wygłoszona mowa, nie może zachwiać w posadach wielkiego państwa niemieckiego — tem mniej, że Jaurès jest w ojczyźnie swej głównym rzecznikiem pokoju i dobrych stosunków z Niemcami, i że zwalcza z podziwu godną odwagą zakorzenioną w narodzie myśl odwetu za r. 1870—71. Czyn to, rozumie się nie dla pięknych, niebieskich oczu, właściwych rasie germańskiej, lecz dla dobra swego kraju. Nie mniej jednak przysługuje się tem Niemcom. Niektóre gazety tutejsze ostro skrytykowały kanclerza. Jaurès zaś pocieszyć się powinien tym faktem, że podobny los spotkał również socyalistę Adlera z Wiednia i szwajcarskiego jego kolegę Greulicha w Konstancyi, w księstwie badeńskiem, najliberalniejszem dotychczas państewku niemieckiem. Z tą tylko różnicą, że ci dwaj ostatni nie mogąc mówić w Konstancyi, przenieśli się wraz z swojem audytoryum do miejscowości

---

70)

G. ROVETTA.

PANIENKA

(La Signorina)

Powieść

Przekład z włoskiego.

(Ciąg dalszy).

— Nie zapominam nigdy o niczem, nawet o prawach twojej stałej i szczerej przyjaźni, która ci daje przywilej wylewania na mnie twego złego humoru! Tylko pannę Helenę zostawmy w spokoju, proszę cię. Od tego wara!

Adwokat zerwał się, uniesiony gniewem, ale wnet się pohamował.

— To nie ja, to świat... to ludzie wprowadzają tu pannę Helenę,

— Świat? A co to kogo obchodzi? Helena należy do mnie tylko. Ojciec mi ją oddał. Wychowałem ją sobie i jest moją córką. Co to kogo obchodzi?

— Obchodzi... o tyle... Obchodzi bardzo, dlatego, że i w Lodignoli ludzie mają oczy do patrzenia i języki do gadania.

— Na co patrzą? Po co gadają? Nikt nie ma prawa wtrącać się w moje sprawy.

Roero podniósł głos, Olivieri zaś krzyczał jeszcze głośniej:

— Jeśli nie ma do tego prawa, to mimoto ma słuszność, twierdząc, że co najmniej osobliwą jest gorliwość ojcowska, jaką nagle zapałałeś ku pannie Helenie... na której utrzymanie, co prawda, łożyłeś zawsze, o którą się jednak wcale nie troszczyłeś. Czekałeś aż będzie miała lat dwadzieścia, by się zabawić w tatusia.

Adwokat roześmiał się nerwowo i począł znowu chodzić po pokoju, ciężko oddychając i dysząc, jak miech.

Natomiast Franciszek uspokoił się. Nabrał przekonania, że Olivieri się kocha w Helenie i litował się nad nim w duszy.

— Biedaczysko! Nigdy nie miał szczęścia w miłości!

Zresztą Roero nie miał ochoty dziś się gniewać, nie chciał dzisiaj scen przykrych. Był w wyśmienitym humorze i pragnął wrócić do Lodignoli w dobrym humorze. Usiadł na kanapie i założył nogę na nogę.

— To, co ty mówisz, może się wydawać prawdziwem dla ludzi, którzy o niczem nie wiedzą, którzy, jednem słowem, mnie nie znają. Prawda, nie zajmowałem się wprost wychowaniem... Heleny; byłem pewny, a obecnie przekonałem się o tem, że powierzyłem ją w dobre ręce. Jeśli dotychczas się nie pokazywałem, ty wiesz dobrze dlaczego... Ty wiesz, że nie mogłem uczynić tego, czego gorąco pragnąłem.

Obaj milczeli przez chwilę, poczem Olivieri usiadł na kanapie obok Roera i przemówił doń zupełnie odmiennym tonem.

— Wiem dobrze, co czyniłeś nieustannie dla panny Heleny, idąc za popędem twego serca dobrego i szlachetnego. Wiem bardzo dobrze, że zawsze, z bliska czy zdaleka, byłeś dla niej ojcem... tak jest, prawdziwym ojcem. Mnieby z pewnością nigdy na myśl nie przyszło zwracać uwagę na to, że z nią spędzasz całe dni, że z nią spacerujesz, konno czy w powozie, rano czy wieczór. Dla mnie to rzecz prosta, naturalna i niewinna, to się rozumie samo przez się! Ale to tylko dla mnie, bo cię znam na wylot, tak samo, jak wszystkie twoje sprawy. Dla wszystkich zaś innych, którzy nie wiedzą, jak się rzecz ma w istocie... rozumiesz... widzieli, żeś ni stąd ni z owąd przyjechał i, że tak powiem, zamieszkałeś w starym domu... Panna Helena... wpada w oko, ty również zwracasz uwagę... stąd różne domysły...

— Głupcy! — przerwał mu Franciszek, potrząsając nogą i wpatrując się w koniec bucika.

— Głupcy! — powtórzył za nim Olivieri, który uznał trafność tego określenia.

Obaj przyjaciele nie mogli się jeszcze przemódz: nie patrzyli jeszcze na siebie, jednakże papierośnica przechodziła z rąk jednego do drugiego.

— Głupcy, zgoda! Ale powiedz mi Franciszku, czy zazdrośni bywali kiedy rozumni?

— Zazdrośni? Jakto, zazdrośni?...

Roero spuścił nogę; wzrok jego sposępniał.

— Cóż z tem wspólnego mają zazdrośni?

— Był tu u mnie Nino Moro. Wyszedł dopiero przed chwilą.

Roero zerwał się na równe nogi, podnosząc groźnie laskę.

— To ten łotr ośmiela się mnie krytykować? Przedewszystkiem... kto mu pozwolił opuścić Casalpo?

Adwokat wstał również.

— Sam sobie pozwolił, nie pytając nikogo o nic.

— Dobrze. Dziś wieczór, skoro tylko przyjadę do Lodignoli, pomówię z jego ojcem.

— To zbyteczne. Porzucił ojca i zamieszkał w Medyolanie.

— Zamieszkał w Medyolanie!

Franciszek zaśmiał się szyderczo.

— Brawo! Jeszcze jeden wykolejony!... Tylu ich jest!

— Przepraszam — odparł Olivieri — jeszcze jeden uczciwy człowiek, a tych jest niewielu.

— Uczciwy?... To przyszłość okaże.

Roero zbladł, mocno podrażniony.

— Przyszłość? Wszakeśmy już widzieli — odrzekł z dumą adwokat. — Zamiast zbliżyć się do panienki, zawracać jej głowę, narzucać jej się, usunął się i znikł.

— Piękna mi zasługa! On wcale nie taki głupi! Chłop jakiś! Wie dobrze, że gdyby Helena co zauważyła, wyśmiałaby go!

Olivieri z oporem ciągnął dalej:

— Ej, kto wie? I jabym sądził tak samo, lecz nie przysiągłbym na to! Z młodemi dziewczętami nigdy nie wiadomo, czego się trzymać! Zresztą zobaczymy.

— Jak to, zobaczymy?

Franciszek uniósł się znowu. Olivieri zaś pozostał spokojny i uśmiechnięty.

— Zobaczymy. Ludzie zaczną mówić o zerwaniu Nina Moro z ojcem, o jego wyjeździe z Lodignoli, i kto wie?... Takie rzeczy mogą wywrzeć wrażenie na pannie Helenie. W miłości zwycięża ten, kto ucieka!

Olivieri zarecytował to przysłowie, nucąc.

— Helena nigdy się o tem nie dowie. Nie usłyszy nigdy więcej o Ninie Moro.

— Nie?... A zatem nie znasz wcale młodych dziewcząt!

— Będziemy jej strzegli: ja i pani Eugenia.

— Strzedz... młode dziewczę?

Cudem jakimś Franciszek zapanował nad sobą.

— Zdaje mi się, że chcesz mię koniecznie rozgniewać.

— Rozgniewać? — powtórzył Olivieri z udanem zdziwieniem. — Dlaczegóżbym cię miał rozgniewać?

— Na przekór! Bo ty, jak zaczniesz się sprzeczać, to nie wiesz w końcu, co mówisz i gotów jesteś upierać się przy swojem, chociażby to było największym nonsensem.

— To wcale nie taki nonsens przypuścić, że panna Helena może pokochać Nina Moro.

— Ależ oszalałeś!

(Ciąg dalszy nastąpi).

szwajcarskiej Kreuzlingen, do której stamtąd w 10 minut dostać się można. Efekt zaś tych machinacyi ostrożnościowych był prawdopodobnie ten, że socyaliści musieli nabrać wielkiego wyobrażenia o wzroście swej potęgi i swego znaczenia.

Niech mi monsieur Jaurès wybaczy, że wprost od niego przeskoczę do miss Isadory Duncan. Skok to nielada — zestawienie nie bardzo szczęśliwe — ale za to urozmaicenie. Przyznać zresztą trzeba, że i ona w swoim zakresie osiągnęła pewnego rodzaju sławę europejską. Wspomniałem już zeszłego roku na tem miejscu o jej projekcie co do założenia szkoły tańca w Grunewaldzie dla małych dziewczątek, które miały być powierzone jej pieczy aż do 15—16 roku życia. Dla uzupełnienia tych wiadomości dodać muszę, że projekt jej przyszedł do skutku, a świetnie prosperująca szkoła liczy już 20 uczennic. Liczba tych ostatnich wzrasta tak znacznie, że dla ulokowania ich przedsiębiorcza Isadora myśli już o wzniesieniu drugiego budynku. Pierwszy wystawiła własnym kosztem, a że na drugi fundusze jej nie starczą, wpadła na iście amerykański pomysł. Rozesłała do najbogatszych kapitalistów berlińskich okólnik, w którym donosząc o świetnym rozwoju swego zakładu i o potrzebie rozszerzenia go o jeszcze jeden budynek, zwraca się do nich o pomoc finansową, a mianowicie o subskrypcyę na swe przedstawienie benefisowe, mające się odbyć w gmachu operowym Krolla. Subskrypcyę tę rozłożyła na następujące serye: 50 po tysiąc marek; 100 po pięćset marek; 100 po sto marek; a 1.000 po dwadzieścia i pięć marek, co czyni razem okrągłą sumkę 135.000 marek. W odwet za przysługę obiecuje wmurować listę subskrybentów w kamień węgielny nowego gmachu. Nie umiem postawić się w położenie kapitalistów berlińskich: zdaje mi się jednak, że na ich miejscu ani tą zaszczytną obietnicą, ani też sztuką jej zwabióbym się nie dał.

Z dziedziny kryminalistyki zanotować wypada, że policya wpadła na trop zorganizowanej bandy rzezimieszków i włamywaczy, złożonej z przeszło 20 osób, a grasującej po całym Berlinie, szczególnie w najbardziej ożywionem śródmieściu. Obecnie w toku jest proces przeciw 21-letniemu pomocnikowi piekarskiemu, Moglerowi, który zamordował swego majstra wraz z żoną i dzieckiem dla zrabowania 600 marek. Przehulawszy je w krótkim czasie, oddał się sam w ręce sprawiedliwości.

Z instytucyj dobroczynnych bardzo wiele stosunkowo zajmuje się ubogą dziatwą szkolną, którą tu szczególnie troskliwą otaczają opieką, aby wychować silne i zdrowe pokolenie. Prócz kolonii i półkolonii wakacyjnych zawiązało się niedawno towarzystwo pań, urządzających co tydzień wycieczki do lasu dla tych dzieci, które w koloniach pomieszczenia nie znajdują. Dziatwa ta podzielona jest na oddziały po 12—16 głów. Każdym oddziałem opiekują się dwie panie, z których jedna zajmuje się kupowaniem i sporządzaniem prowiantu, jakoteż przytransportowaniem go na miejsce wycieczkowe w dużej, bardzo praktycznie uszytej torbie. Druga ma kasę i prowadzi księgi i rachunki. Obie towarzyszą zawsze swemu oddziałowi, z którym spotykają się u punktu zbornego, to jest przy najbliższej stacyi kolejowej o godzinie 3ciej. Tutaj rozdaje się dziatwie na koszt towarzystwa bilety jazdy tam i napowrót. Celem wycieczek jest najczęściej pobliski Grunewald. Po długim spacerze w lesie dostają dzieci podwieczorek. Na każde z nich przeciętnie wypada po dwie kromki chleba z masłem, obłożone wędliną, czyli tak zwane „Stulle" (bez których się Niemcy ani na krok z domu nie ruszą); do tego jedno jajo na twardo, szklanka mleka i trochę owoców. Prócz tego każda z pań prowadzących funduje jeszcze z własnej kieszeni czekoladę lub inne słodycze. Po tym posiłku urządza się różne zabawy. Czasami dzieci śpiewają; innym razem znów jedna z pań opowiada im coś, lub czyta na głos; w sezonie owocowym wolno im zbierać poziomki i borówki. Często opowiadają dzieci o swych rodzicach i rodzeństwie, albo zwierzają się ze swych pragnień; chłopcy opowiadają, czemby chcieli zostać, gdy dorosną (naprzykład aptekarzem, bo się ma ładne pudełeczka i cukierki) itp. Uczą się tym sposobem poprawnie i łatwo wyrażać, jakoteż przyzwoicie się zachowywać. A przytem ośmielają się i nabierają zaufania i wdzięczności dla osób, którym zawdzięczają nieraz najprzyjemniejsze chwile swego dzieciństwa. I tak wytwarza się z czasem między temi paniami a dziećmi serdeczny, prawdziwie przyjacielski stosunek, podtrzymywany także w zimie korespondencyą i odwiedzinami, gdyż wycieczki trwają tylko od kwietnia do października. Każda taka wycieczka jednego oddziału kosztuje przeciętnie 5—7 marek. Fundusze na to zbierają się z rocznych wpłat członków towarzystwa i z większych jednorazowych datków osób, które się dla tej sprawy werbuje.

Bardzo piękną instytucyą, zajmującą się biednemi dziećmi przez cały rok, są też tak zwane „Kinderhorty", w których chodzi o to, aby dzieci, których matki zajęte są całodzienną pracą poza domem, miały opiekę i nadzór w czasie wolnym od szkoły. Tam się je na nowo czesze i myje, daje im się podwieczorek, a co najważniejsza, uważa się, aby dziatwa odrabiała sumiennie zadania szkolne i uczyła się lekcyi na dzień następny. Co za ułatwienie i uspokojenie dla biednych rodziców, a jakie dobrodziejstwo dla dzieci! O ile mniej przez to podupadłych indywiduów i zwichniętych egzystencyi! Bo dziecko tak do 15—16 roku życia prowadzone, już i dalej prostą drogą pójdzie. Co za błogosławieństwo wreszcie dla kraju, mającego tym sposobem o tyle mniej włóczęgów, żebraków i zbrodniarzy! Ma to jeszcze jedną dobrą stronę, gdyż prócz funduszów trzeba na to także wiele osób dobrej woli, któreby pracę swą zupełnie bezinteresownie dla dobra ogółu zaofiarowały. Są to więc po części panny z zamożnych domów nie potrzebujące starać się o własne utrzymanie. Poświęcają one na to czas, który dawniej zabijały czytaniem złych romansów i flirtem, wypaczając tak swoje z natury nie złe serca. Zamiast tego mają teraz sposobność przysłużenia się społeczeństwu wśród którego żyją i przysposobienia się na dzielne żony i matki i zapobiegliwe gospodynie. A przytem, ile mniej przez to tych tak zwanych „złamanych serc", któremi się kończyły wesołe flirty.

Nie należę do ludzi podziwiających bezkrytycznie wszystko co obce, ale uznaję bezstronnie i u obcych to, co dobre i użyteczne. Co więcej pragnąłbym gorąco widzieć to i w swojej ojczyźnie i dla tego rozpisałem się o tem tak szeroko, aby tym dobrym przykładem zachęcić swe współrodaczki. Naśladowanie dobrego nikomu ujmy nie czyni, a uczyć się można nawet od nieprzyjaciół.

Z tajemnic dyplomacyi.

Znany korespondent wojenny, Otto von Gotber, ogłosił w niemieckiej *Staatszeitung*, wydawanej w Nowym Jorku, bardzo zajmujące opowiadanie jednego z dyplomatów japońskich o ks. Bismarku.

„Po raz pierwszy — mówił dyplomata — zbliżyłem się do Bismarka na jakimś obiedzie w jego własnym domu. Potężna, a jednak delikatna głowa oświecona była blaskiem lampy wiszącej, gdy zwrócił się do mnie z wezwaniem, abym usiadł przy nim w fotelu. Było już po obiedzie. Wąska i kobieco biała ręka tego olbrzyma trzymała długą fajkę. Paf! Paf! Kłęby dymu wypuszczał z pod krzaczastych wąsów.

— Opowiedz mi pan co o swojej ojczyźnie — rzekł.

Mój Boże! Cóż miałem mu opowiedzieć? Wydawałem się sam sobie tak małym przy tym wielkim człowieku. Ale miałem oddawna już coś na sercu, i oto błysła mi nagle myśl, że teraz jest chwila najodpowiedniejsza, aby o tem mówić. Opowiadałem tedy o reorganizacyi naszej armii, o starożołnierskich cnotach naszego ludu, o charakterze wojskowym i wysokiem poczuciu honoru naszego cesarza. To podobało się Bismarkowi. Czułem, że uderzyłem w strunę, która echem w jego sercu zadrgała. Zaczął mnie słuchać uważniej, robił komentarze, stawiał pytania. W końcu zdawało mi się, że grunt jest już dostatecznie przygotowany, aby rozpocząć rozmowę o tem, co koniecznie poruszyć chciałem. Wspomniałem tedy o świeżo zawartem rosyjsko-francuskiem przymierzu i dodałem:

— Gdyby Jego Ekscelencya zdecydować się kiedyś miała uderzyć pięścią w zachodnie bramy Rosyi, to my, Japończycy, moglibyśmy przy tylnej furtce wzniecić jaki mały pożarek.

Zaledwie słowa te wymówiłem, zląkłem się własnej zuchwałości. Bismark błyskawicznie wyjął z ust fajkę, obrócił się ku mnie szybko, jego wielkie, niebieskie oczy stały się jeszcze większe i wpiły się we mnie pytająco. Nie odpowiedział nic. Nasza rozmowa była skończona. Miałem wrażenie, że powiedziałem za wiele.

To też byłem silnie zdziwiony i zaniepokojony, gdy we trzy dni później otrzymałem wezwanie, abym odwiedził ks. Bismarka w urzędzie spraw zagranicznych. Tym razem przyjął mnie stojąc, na krótkiej audyencyi i rzekł bez wstępów:

— Myślałem dużo o pańskim projekcie, kochany wice-hrabio. Mówiłem także z jenerałem Mecklem o chwalonej przez pana doskonałości armii japońskiej, i podzielił on pańskie opinie co do żołnierzy i oficerów. A zatem, skoro pan zamierzasz powrócić teraz do Japonii, postaraj się o to, aby mi przedłożono twój projekt w formie planu wypracowanego. Wtedy mógłbym ewentualnie zająć się bliżej tym planem.

Na tem skończyła się rozmowa nasza. Gdy po niejakim czasie wróciłem z Japonii do Berlina, Bismark był już w dymisyi.

Szogun i mikado.

Każdy kto zasłyszał coś nie coś o Japonii, wie czem jest w tym kraju mikado. Wie mniej więcej o szogunie, a stosunek do siebie dwóch władz, które się, jak wiadomo w pojęciu tych wyrażeń mieszczą już dla niejednego dokładniej obeznanego nawet z biegiem spraw publicznych wśród nas, jeśli nie jest obcym, to przynajmniej niejasnym.

A przecież szogun i mikado to przeszłość i teraźniejszość Japonii, wzajemna pomiędzy nimi walka, to jedna z ciekawszych kart współczesnych dziejów tego kraju, tryumf drugiego nad pierwszym, to tryumf światła nad ciemnościami, postępu nad skostniałem zacofaniem.

Kto z myślących nierad będzie poświęcić chwili zastanowienia tej walce, której ostatecznym rezultatem jest to, co się dziś dzieje w Japonii? Gdy po tylu innych pozostają tylko trupy i zgliszcza, ta stała się dla tego kraju zwiastunką zorzy, złocącej szeroko dokoła niego widnokrąg. Skoro dotąd niestety, sądem polubownym nie można rozwiązywać zagadnień społecznych, szlachetną przynajmniej jest ta walka, co pozostawia za sobą dzień, nie noc. A taką była: mikady z szogunem.

Dzięki wielkiemu mistrzowi ceremonii dworu cesarskiego w Tokio baronowi Joszitane Sannomija, uzyskała Europa obecnie możność zapoznania się szczegółowo z tą walką w znanem czytelnikowi dziele Steada.

Nie pozostajmy więc za Europą w tyle, wtajemniczmy się tą drogą chociaż w jej przebieg, gdy zajęci czytaniem rzeczy zabawiających umysł, na wertowanie dzieł poważnych, zwłaszcza też w języku angielskim, nie mamy do zbytku chęci, a czasami i możności.

Kiedy w dniu 14 grudnia 1876 r. mikado zapowiedział szereg reform, mających odrodzić Japonię, w odezwie swojej do narodu, oświadczył, że rozwijać je będzie na podstawie, ułożonej w tym kraju przez jego przodków 2527 lat temu. Było to znaczącem dla przyszłego rozwoju tego kraju, świadczyło bowiem o tem, że odtąd żadna inna władza paraliżować nie będzie tej, jaką on sprawował. Istotnie, jak tradycya o tem świadczy, pierwszy cesarz Japonii Dzimmu, który nią rządził od roku 650 do 584 przed Chrystusem, nie zna innej, rywalizującej z sobą władzy. Nie znali jej długo i jego w prostej linii następcy, i dopiero około roku 1187 naszej ery, jeśli starym kronikom wierzyć, wyłania się z mgły ziemi „wschodzącego słońca" szogun. Wyłania się i staje przy nim, ale jak autor japoński twierdzi, i „pod nim". I prostuje błąd zakorzeniony w pojęciach Europejczyków.

„Z faktu (oto jego słowa), że panowało współcześnie w Japonii dwóch cesarzy: jeden „duchowy", drugi „świecki", powstała zagraniczą i utrzymywała się w ciągu wieków mylna idea o naturze rządu japońskiego".

I twierdzi dalej: że szoguna mianował zawsze cesarz, że w jego imieniu wykonywał on władzę. Ale dodaje nadto: że ta władza była mu nadawaną dziedzicznie w jego rodzinie. Zatem, nie zależał on od samowoli, miał do władzy prawo.

I te słowa objaśniają nam jak nie można lepiej rolę, jaką szogun odgrywał w Japonii. Mając za sobą prawo, nie zawsze ceremoniował się z tem, z czem ceremoniować się muszą ci, którzy do czegoś prawa nie mają — czuł pod sobą twardy grunt, którego usunąć mu z pod nóg nie mógł kaprys.

Tego autor japoński nie mówi, ale to jest następstwem natury podobnego urzędu.

Jeśli np. taki Bismark, mogący być każdej chwili kim innym zastąpiony w ciągu lat długich, spychał na plan drugi swego cesarza i z wielkim tylko trudem mógł być pozbawiony władzy, którą tak brutalnie poniewierając słabszymi, wykonywał, to cóż powiedzieć o dostojniku, powołanym do życia nie wolą czyjąś, ale nieubłaganą siłą rzeczy, i mogącym każdej chwili oprzeć się na prawie.

A dostojnikiem takim właśnie w Japonii był szogun. Nominalnie zależny od mikada, prawnie mu współrzędny, a bardzo często zaćmiewający go swoim blaskiem.

Pod tym więc względem Europa pojmowała urząd jego jak należy, zwłaszcza, gdy ją dochodziły echa walk, jakie nieraz toczył z mikadem. A walki te datują się oddawna, cicho lub głośno toczyły się one, zależnie od charakteru i namiętności ludzi, którzy dwie te władze sprawowali, ale nie ustawały w gruncie rzeczy, póki nareszcie jedna z nich, mianowicie szoguna nie została powaloną o ziemię.

Czytając uważnie artykuł Sannomija, widzi się jedno, ze szogun w Japonii długie lata był wszystkiem. On, nie cesarz, w początkach 18go wieku wprowadza nieznane przedtem porządki do kraju, on dozwala lub wzbrania cudzoziemcom nawiedzać brzegi Japonii. Wszystko *on*, mikada jak gdyby nie było.

Przecież był, wiedział o nim naród, czuł jego moralną powagę, pojmował poniżenie. To też gdy w drugiej połowie zeszłego wieku sprawa praw rządu Europy i Ameryki do tego kraju poruszyła opinię publiczną, przypomniano sobie nagle o tem, że szogun włada jedynie z mocy, nadanej mu przez mikada. I zwrócono oczy na mikada.

Rozległ się w całym kraju okrzyk „Kinno" co znaczy „uczcijmy cesarza", okrzyk ten przechodził z ust do ust i niby elektryczna iskra wstrząsał wszystkimi.

Właśnie umierał mikado poprzedni. Na tron wstąpił panujący do dziś jego syn. Jako człowiek niepospolity, przyszedł do władzy z szerokiemi planami odrodzenia, wsparł się na ludziach, którzy widzieli, że tak, jak dotąd, w Japonii dalej być nie może. A przedewszystkiem, że jeżeli być ma inaczej, szogun musi iść precz.

Zaproponowano mu więc abdykacyę, na którą widząc niechęć prawie powszechną ku sobie, zgodził się dobrowolnie, której przecież nie zaakceptowali niektórzy jego stronnicy. I porwali za broń. Walka była długa i krwawa; dwa światy wzięły się za bary, były nawet chwile, że zdawało się, iż młody, zmierzający do odrodzenia uledz musi.

Nie uległ; na polach Hakodate szale zwycięztwa przechyliły się na jego stronę, świt nowych porządków zarumienił widnokrąg. Mikado zatryumfował na całej linii. Reszta wiadoma.

Zabrano się energicznie do roboty; z żelazną wolą postanowiono kraj odrodzić. A że niebyło już tego, który mógł paraliżować postęp, przeto potoczył się on szybkiem kołem. I w dniu 14 marca 1868, zatem wkrótce po reskrypcie zapowiadającym reformy, mikado występuje z manifestem do narodu, w którym określa bliżej, na czem polegać te reformy mają.

Przepiszmy dla pamięci jego słowa, gdyby bowiem w walce jego z szogunem ten ostatni zatryumfował, nie usłyszałaby ich niezawodnie Japonia nigdy.

Oto one:

1) Mają się odbywać zgromadzenia publiczne, celem omawiania spraw zarządu krajem.

2) Zarówno rządzący jak rządzeni obowiązani są poświęcić się dobru narodu.

3) Urzędnicy cywilni i wojskowi obowiązani są zmierzać do rozwijania siły przemysłowej wszystkich klas i rozbudzać ich działalność.

4) Wadliwe nawyknienia, przemagające dotąd, winny uledz poprawie.

5) Pożyteczne wiadomości mają być zapożyczane od zagranicy, celem ukrzepienia fundamentów państwa.

Rozumne te zarządzenia nie uwięzły na papierze, weszły w krew narodu, aż dopóki w roku 1889 nie ukoronowała ich konstytucya. Ze starej Japonii szoguna pozostały strzępy. Nowa — prowadzona ku wyższym celom przez mikada, ukazała się ludzkości.

W końcu słowo.

Z artykułu pisarza japońskiego widzimy, czem w przeszłości jego ojczyzny był szogun, czem był mikado.

Pierwszy faktycznie rządził, drugi panował, pierwszy, że tak powiemy, był materyą, drugi duchem.

Siła wojenna była w rękach szoguna. On sprawował administracyę kraju, zawierał traktaty międzynarodowe, nakładał na poddanych kary.

Ale rządził źle, prowadził kraj do ruiny. I mikado niszczącej jego robocie postanowił położyć kres. Duch wyzwał do walki materyę i zwyciężył. Polała się krew, wsiąkła w oschłą ziemię i wydała zielone drzewo życia. I odetchnęły szeroko piersi milionów w Japonii, rozradowały się mnogie serca. Rodzinie kulturalnych narodów na Zachodzie przybyła nowa rozbudzona tchnieniem wolności, po śnie długim, jednostka. A nauka stąd? Ducha nie gaśmy.

Stanisław Bełza.

Rada miasta Lwowa.

Lwów, 28 lipca.

(Długa dyskusya nad małą sprawą. — Brak kompletu).

Przed porządkiem dziennym wczorajszego posiedzenia Rady miejskiej jako nagłą referował r. dr. Adam sprawę restauracyi wewnętrznej budynku III gimnazyum we Lwowie im. Ces. Franciszka Józefa. Chodzi o pewne drobne rzeczy jak wybudowanie kilku pieców, włożenie kilku nowych ram do okien i drzwi itp. za cenę 1399 K. i o większe niektóre roboty restauracyjne kosztem około 8½ tysiąca koron. Referent proponuje wykonać te roboty jeszcze w przeciągu bieżących feryi. Sprawa ta wywołała dość długą dyskusyę, a to z tej przyczyny, iż wątpliwem jest czy gmina obowiązaną jest wszystkie te roboty wykonać swoim kosztem, kontrakt bowiem z rządem wyłącza niektóre roboty restauracyjne z pod obowiązku wykonywania ich przez gminę. Wniosek odmienny od wniosku referenta postawił r. Bol. Lewicki, który zażądał, aby w ciągu bieżących feryi wykonać tylko roboty drobne kosztem 1399 K. wykonanie zaś innych odroczyć aż do zdecydowania prawnej kwestyi, czy gmina jest do ich wykonania obowiązana, czy nie. Jeszcze dalej idący wniosek postawił pan Wczelak, a mianowicie, aby z tej kwoty opuścić 800 koron, przeznaczonych na urządzenie drewnianych ochronnych lamperyi w salach szkolnych. Ostatecznie po półtoragodzinnej jałowej dyskusyi przyjęto wniosek r. Lewickiego z poprawką pana Wczelaka.

Następnie małe rozgorączkowanie wywołał spóźniony wniosek nagły r. Śliwińskiego w sprawie udzielonego już konsensu na budowę pralni wojskowej przy ulicy Pełczyńskiej. Osobną uchwałą Rady udzielono głosu r. Śliwińskiemu, który przedstawił, że budowa tej pralni rzekomo narazi miasto na szkodę i że z powodu tego należy rzecz całą odesłać do sekcyi III. Dyskusyi uchwaliła Rada nie otwierać nad tą sprawą, a pan prezydent przyrzekł, że przedłoży rzecz III sekcyi.

Z kolei drugi nagły, a spóźniony wniosek zgłosił r. Hudec. I jemu pozwolono mówić. Przedstawił on, jakoby w chwili toczącego się posiedzenia Rady na placu Maryackim policya gwałtem z pomocą wojska rozprószyła spokojnie idących w pochodzie strejkujących robotników budowlanych. R. Hudec zażądał, by pan prezydent miasta, jako jego gospodarz, odniósł się z energicznem żądaniem do policyi, aby podobne rzeczy się nie powtarzały. I temu żądaniu przyrzekł pan prezydent uczynić zadość.

Z referatu r. d-ra Szpilmana uchwalono urządzić od dawna już projektowany miejski zakład desinfekcyjny kosztem 9.800 koron, który stanie na podwórzu miejskiego dworca drogowego przy ul. Zielonej. Poczem o godzinie wpół do dziesiątej na żądanie dwudziestupięciu radnych zarządził pan prezydent posiedzenie tajne, jednak okazał się brak kompletu i posiedzenie zamknięto.

Wojna rosyjsko-japońska.

Tokio. (Urzędowo). Japończycy zajęli dnia 25 b. m. Aleksandrowsk na Sachalinie.

Tokio. (Urzędowo). Z japońskiej głównej kwatery donoszą, że armia sachalińska dnia 24 b. m. rozpoczęła wysiadanie na ląd koło Alkowy, nie natrafiwszy na opór. Admirał Kataoka, który komenderował eskadrą, wysłaną na północ, doniósł, że eskadra jego towarzyszyła transportowi wojsk. Druga eskadra, wysłana pod dowództwem admirała Dewa, zrekognoskowała wybrzeża, poczem zatrzymała się koło Aleksandrowska. Marynarze wysiedli na ląd, nie natrafiając na opór i obsadzili punkty, potrzebne do wylądowania wojska. Wojsko następnie wylądowało, zaś marynarze powrócili na okręty. Nieprzyjaciel spalił miejscowości Pumina i Alkowa. Aleksandrowska nie podpalono. Japońską flagę wywieszono na gmachu gubernialnym i na innych domach Aleksandrowska. Okręty japońskiej eskadry nie poniosły szkody.

Petersburg. Jenerał Liniewicz telegrafuje: Dnia 24 b. m. o godzinie 1 z południa wysiadł na ląd z japońskiego kontrtorpedowca koło miejscowości Kastri batalion piechoty, obsadził latarnię morską i wywiesił japońską flagę.

Co i o czem piszą.

Bardzo zajmujący artykuł o „Sklepikach wiejskich" zamieściła w *Świecie kobiecym* p. J. Zakrzewska. Artykuł ten rzuca światło z jednej strony na wyzysk ludności wiejskiej przez nieuczciwych kupców małomiasteczkowych — z drugiej daje szereg opartych na własnem doświadczeniu wskazówek, dotyczących zakładania i prowadzenia sklepików, które po wsiach są potrzebne nietylko ze względów ekonomicznych, ale powinny zarazem stanowić pewne placówki kulturalne, oddziaływające dodatnio na włościan.

— Przed czterema laty założyłam u siebie sklepik — mówi pani Zakrzewska. — Przygotowawszy lokal (pustą izbę w oficynie), pojechałam do Warszawy po sprawunki, które, jak się o tem wkrótce przekonałam, niestety, musiałam załatwiać u hurtowników żydowskich, bo firmy chrześcijańskie dawały towar znacznie może lepszy, ale przez to samo o wiele droższy i, biorąc od nich, nie byłabym mogła rywalizować ceną z kupcami z miasteczka. A chłop nie chce towaru lepszego, ale tańszego, i dla oszczędzenia grosza lub dwóch na funcie, zrobi chętnie kilka wiorst piechotą. Trzeba więc liczyć się ze swoją klientelą i sprzedawać *tanio*, a co za tem idzie, i *tanio* kupować, inaczej bowiem sklep przynosiłby straty, a przedsiębiorstwo handlowe, choćby najmniejsze, które ma istnieć i rozwijać się, musi być oparte nie na filantropii, ale na rachunku.

Ludzie nasi — czytamy nieco dalej — powitali założenie sklepu bardzo życzliwie; jeszcze nie był on zupełnie urządzony, a już schodzili się i prosili, aby im coś sprzedać, więcej zaś jeszcze zachęciło ich wręczenie każdemu książeczki do zapisywania towarów, branych na kredyt.

Obrót w sklepie, który założony został ze skromnym kapitałem 400 rb., był od początku dość duży. Ludzie przychodzili nawet z daleka po sprawunki, tem chętniej, że zamiast gotówki, przyjmowano jaja i masło. Dochód dzienny bywał bardzo rozmaity, ale nigdy prawie nie było mniej, niż 4 rb., a przed świętami Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy, Zielonych Świątek, lub ostatków, dochodził do 24 rb. Bilans zestawiony za pierwszy rok istnienia, wykazał czystego dochodu 32 rb. 90 kop., co jako odsetek od 400 rb. kapitału zakładowego, wynosi 8¼%, przyczem w ciągu roku nabyto towarów za 2.354 rb. 73 kop., za gotówkę sprzedano za 1.824 rb. 30 kop., na kredyt za 622 rb. 2 kop.

Dodać należy, że rezultaty te osiągnięto mimo współzawodnictwa kupców z miasteczka, którzy uciekali się do wszelkich środków w walce konkurencyjnej, bo nawet do podstępnych oskarżeń, które sprowadzały śledztwa, rewizye strażników skarbowych, żandarmów itd. Nadto majątek p. Zakrzewskiej leży przy drodze ubocznej, ma chłopów bardzo ubogich, a najbliższe wsie włościańskie odległe są o parę wiorst, miasteczko zaś spore, bo liczące 6000 mieszkańców, jest oddalone tylko o 4 wiorsty, wreszcie we wsiach okolicznych są sklepiki żydowskie.

Jestem tedy najmocniej przekonana — kończy p. Zakrzewska — że sklep, założony z większym od mojego kapitałem i w lepszych warunkach, a więc w majątku, przeciętym szosą, zdala od miasteczka, lub też we wsi kościelnej, rozwijałby się daleko lepiej i mógłby nawet spory dochód przynieść. Sądzę jednak, że nie to jest celem osób, zakładających sklepiki na wsi, lecz że pociąga ich myśl oddania prawdziwej przysługi włościanom przez ułatwienie im nabywania najniezbędniejszych rzeczy na miejscu, bez lichwy i bez ciągłych wędrówek do miasteczka, a co zatem idzie i do karczmy. Nadto jest to znaczny krok naprzód w zbliżeniu dworu do ludu.

KRONIKA.

Lwów 28 lipca.

Strejk robotników budowlanych wszedł w fazę niebezpiecznego przesilenia, wywołanego rozpaczliwem rozgoryczeniem pewnej części robotników, którzy obecnie teroryzują całą resztę swoich współtowarzyszy i zupełnie wytrącili ster sprawy z ręki tych, którzy strejk wywołali i dotąd nim kierowali. Jak już donieśliśmy, pracodawcy stanęli u granicy możliwych ustępstw, wobec czego dalsze targi stały się bezcelowymi. Dla zadokumentowania tego i dlatego, by uniemożliwić jakieś złudzenia, oświadczyli delegaci pracodawców, że odtąd już w żadnej konferencyi z delegatami robotników udziału nie wezmą, gdyż nie mają im więcej nic do powiedzenia ponadto, co już przyznano i omówiono. Bezcelowość dalszych targów uznają też wszyscy poważniejsi robotnicy; zresztą robotnicy ukwalifikowani uzyskali dość pokaźne ustępstwa dla siebie i stoją dziś wobec tej ewentualności, że jeśli nie rozpoczną pracy na przyznanych warunkach, to je utracą. Pracodawcy bowiem zawieszą roboty i otwierając je kiedyś później, nie będą już zobowiązani do dotrzymania dziś przyznanych koncesyj, a będą to mogli uczynić tem pewniej, że będą mieli przed sobą robotników, którzy wyniszczeni przez długie przymusowe już w tym wypadku bezrobocie żądni będą zarobku za każdą cenę. Tedy olbrzymia większość robotników koniecznie chce podjąć pracę na nowo. Nie dopuszcza jednak do tego mała stosunkowo w porównaniu z innymi garść wyrobników dziennych, którzy czując się zawiedzeni w swoich nadziejach, i widząc, że przebiedowali prawie trzy tygodnie i doprowadzili się samochcąc do nędzy niemal zupełnie bezcelowo — z rozpaczliwym uporem wołają: strejkujmy do skutku!

Nie pomagają perswazye komitetu, nie pomagają przedstawienia steroryzowanej większości — mała ta mniejszość z typowym uporem ludzi doprowadzonych do ostateczności stoi przy swojem i gotowa jest chwycić się każdego środka, by nie dać się osadzić na lodzie. Zrozumiałem jest, że w takiej sytuacyi ogarnęło robotników zdenerwowanie, które wytrąca ich z równowagi. Wczoraj wieczorem na placu Maryackim już tylko największym wysiłkiem poważnych robotników udało się odwieść tłum współtowarzyszy od niebezpiecznej awantury z policyą, której na pomoc przybyło wojsko z odwachu. Mianowicie tłum strejkujących chciał wczoraj wieczór podczas posiedzenia Rady wtargnąć do ratusza, zastał jednak bramy zamknięte; udał się tedy na plac Maryacki, gdzie rozpoczęły się mowy, a tłum był tak liczny, że powstrzymał ruch tramwajów konnego i elektrycznego. Policya musiała przemocą wziąć się do oczyszczenia placu. Szczęśliwie obeszło się bez smutnych zajść.

Wczoraj, jak to już donieśliśmy, mimo, że robotnicy stawali tłumnie do roboty, podmajstrzowie z obawy przed groźbami nie chcieli otwierać bram do budujących się domów. Okazuje się, że nie obeszło się bez gwałtów; oto w szkole im. Zimorowicza przy ulicy Łyczakowskiej pracowało kilku murarzy zajętych przy wewnętrznej restauracyi budynku. Wtem budynek otoczył tłum strejkujących. Brama była zamknięta. Napastnicy zażądali od stróżki wydania kluczy. Przyszło do wielkiej awantury, którą do pewnego stopnia zażegnał kierownik tej szkoły. Skończyło się na tem, że murarze poniechali pracy, a wezwana pośpiesznie policya, aresztowała przywódcę napastników, niejakiego Andrzeja Dąbrowskiego. Na policyi oświadczył on, że nie naszedł szkoły z własnej inicyatywy, lecz na wyraźne polecenie komitetu strejkowego. Na dowód tego przedłożył pisemne polecenie od komitetu rewidowania budowli.

Komitet w tym wypadku uległ nakazowi zrozpaczonej mniejszości. Delegaci robotników, którzy dotąd brali udział w konferencyach z pracodawcami oświadczyli, że pragną zawrzeć zgodę, lecz nie pozwalają im na to owi bezwzględni zwolennicy strejku. Dla zapobieżenia nawet zawarciu przez delegatów zgody odmówiono im pod presyą owej mniejszości odpowiedniego mandatu.

Z tem wszystkiem więc sytuacya jest w najwyższym stopniu przykrą i nerwową. Rzuca ona jaskrawe światło na niesłychaną, karygodną lekkomyślność socyalistycznych agitatorów, którzy wywołali strejk, mimo, iż wiedzieli, że mają do czynienia z luźnemi, bezkarnemi i niezorganizowanemi masami. Wywołali go w tem obliczeniu, że po powodzeniu strejku zyskają u tych mas mir i wpływy. Stało się tymczasem inaczej. Właśnie dla tych mas strejk nie przyniósł korzyści. Dziś socyalistyczni agitatorzy stoją bezradni. Rozdrażnienie przerosło stokroć ich wpływy na tłum. Rzeczy potoczą się dalej regulowane przez chimeryczną, niebezpieczną psychologię głodnego tłumu, a ci, którzy je wywołali ani odpowiedzialności za nie przyjąć nie mogą, ani wywierać na nie wpływu jakiegokolwiek.

Sytuacyę tę oceniły władze bezpieczeństwa, które dotąd starały się do najdalszych granic możliwości zachowywać biernie, by tylko nikogo nie rozdrażnić i pozwolić ruchowi samemu w sobie uspokoić się i ustać. Obecnie jednak musiały wystąpić czynnie. Na razie uczyniono dwa kroki. Namiestnictwo wydało rozporządzenie, by magistrat bezzwłocznie uregulował prawne stosunki robotników i pracodawców i najsurowiej wzbronił pracodawcom przyjmowania kogokolwiek do pracy bez przewidzianych ustawą dokumentów, a więc bez książki robotniczej i świadectw odpowiednich. Policya zaś, by oczyścić tłumy z żywiołów niebezpiecznych, urządziła przedwczoraj wieczór i wczoraj po całem mieście obławę na włóczęgów. Do wczoraj do południa aresztowano ich przeszło siedmdziesięciu. Po południu wczoraj podobno znów sporą liczbę.

Z tem wszystkiem miejmy nadzieję, że do mas robotniczych przemówi przecież rozsądek i strejk zakończy się co rychlej ku ich własnemu dobru zupełnie spokojnie i nie przyjdzie do żadnych zajść niepożądanych a smutnych.

* * *

Dzisiejsze przedpołudniowe raporty policyjne notują dziewięć wypadków gwałtu dokonanego przez strejkujących na robotnikach, którzy stanęli dzisiaj rano do pracy. Na budowę przy ulicy Rapaporta, w chwili najścia na pracujących, przybyła na miejsce policya i stoczyła małą walkę na kułaki z napastnikami. W rezultacie sprowadzono na policyę kilku napastników, a po przesłuchaniu niektórych puszczono wolno, kilku zaś aresztowano.

Około wpół do dwunastej przyszli strejkujący w pochodzie ze śpiewami na rynek, gdzie podobno nawet rozbili kilka straganów. Z powodu tego powstał w Rynku i w okolicy wielki popłoch. Publiczność tłumnie kryła się do bram domów.

Wszyskie sklepy w Rynku i przyległych ulicach, a nawet na placu Kapitulnym, Maryackim i Bernardyńskim zamknęli kupcy żelaznemi roletami. Około wpół do pierwszej tłum opuścił Rynek. Publiczność nieco się uspokoiła, a kupcy otworzyli sklepy napowrót. Niemniej jednak krążą po mieście niepokojące wieści o spodziewanych niepokojach. Spokojna publiczność boi się wychodzić na ulice w śródmieściu.

Bezpłatny kurs dla desinfektorów odbędzie się we Lwowie w czasie od 7 do 12 sierpnia pod kierownictwem fizyka miejskiego dra Łogżyńskiego. Przedmiotem wykładów będą: 1) Choroby zakaźne, 2) desynfekcya ogólna, 3) desynfekcya szczegółowa.

Spalenie się dwojga dzieci. W kasynie wojskowem w Przemyślu wydarzył się wczoraj straszny wypadek. Oto podczas sporządzania masy do podłogi w kuchni kasyna eksplodowała terpentyna, wzniecając pożar w całej kuchni, w której znajdowało się dwoje dzieci posługaczki. Chłopak 10-letni zginął na miejscu, dziewczynka 12-letnia, odstawiona do szpitala, zmarła po kilku godzinach. Żołnierze, którzy przybiegli na pomoc płonącym dzieciom i gasili pożar, również doznali bardzo bolesnych poparzeń.

Wiadomość o sprzedaży terenów naftowych w Borysławiu kapitalistom niemieckim za 4½ miliona koron okazała się przedwczesną. Rokowania są dopiero w toku. Tak donoszą dzisiaj z Borysławia. Szkoda wielka, że nie donoszą, iż wiadomość ta jest zupełnie mylną i że ks. Lubomirska wcale nie myśli sprzedawać Niemcom swoich kopalń.

Sprostowanie. W niektórych dziennikach ogłoszono mylnie, jakoby budowę kolei „Tarnów-Szczucin" otrzymało przedsiębiorstwo Uderski i Kurkiewicz, gdyż budowę tę otrzymało przedsiębiorstwo Szymberski i Brejter.

Konkurs na dwa dożywotnie wsparcia po 600 koron rocznie z fundacyi ś. p. dr. Tytusa Trzemyckiego, przeznaczone dla takich starców i kalek narodowości polskiej, którzy w jakikolwiek sposób dobrze służyli sprawie narodowej, a na starość bez przytułku zostali, rozpisuje Wydział krajowy we Lwowie. Podania do 15 sierpnia.

Wydział krajowy we Lwowie rozpisuje konkurs na posadę aplikanta przy krajowem Archiwum aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie, z roczną płacą 600 K. Ubiegać się o tę posadę mogą tylko uczniowie lwowskiego Uniwersytetu, oddający się studyom historyczno-prawniczym. Podania do 31 sierpnia.

Szantaż na wielką skalę. Z Nowego Jorku donoszą, że wydawcy wychodzącego tam pisma *Town Topics* (Plotki miejskie) staną wkrótce przed sądem, oskarżeni o wymuszenie od rozmaitych bogaczy amerykańskich około miliona koron pod zagrożeniem wykrycia rozmaitych skandalów z ich życia rodzinnego. Wydawcy tego pisma rozsyłali byli agentów do ludzi bogatych celem nakłonienia ich do zaprenumerowania dwóch jakichś książek, które wyjdą niby ich nakładem. Ajenci ci grozili ofiarom swym, że jeżeli nie zaprenumerują tych książek, w takim razie w dzienniku *Town Topics* opisane zostaną rozmaite sprawki z ich życia rodzinnego. Egzemplarz książki kosztował — stosownie do majątku ofiary — 100—500 dolarów, czyli do 2.500 koron.

Historya wydała się w ten sposób, że jedna z upatrzonych ofiar, milioner nowojorski E. M. Post, nie dał się naciągnąć i zawiadomił o tym szantażu prokuratorya. A zrobił to bardzo sprytnie. Mianowicie powiedział agentowi, który mu zagroził, że jeżeli nie zapłaci 500 dolarów, to skandaliczna historya jego życia ogłoszoną zostanie w *Town Topics*, że się musi namyśleć i prosił go, aby przyszedł po odpowiedź nazajutrz. Na drugi dzień ajent istotnie przyszedł i znowu powtórzył swoją groźbę, a wówczas wyszedł z za parawanu ukryty tam ajent policyjny i zaaresztował go. Ze skonfiskowanych książek administracyjnych dziennika *Town Topics* okazało się, że ofiarą wymuszenia padli między innymi następujący milionerzy: Czterech Vanderbiltów, Astor, senator Depew, dalej D. R. Francis z St. Louis, były prezydent wystawy światowej i wiele innych znanych w Ameryce osób.

Wogóle zebrać miano na prenumeratę wymienionych dwóch książek, które nie wyszły i nawet wcale wyjść nie miały, przeszło 200.000 dolarów.

W całej tej aferze jest także mocno skompromitowany pewien sędzia nowojorski, James Deuel, który był potajemnie dyrektorem tego przedsiębiorstwa dziennikarskiego. Zadaniem jego było odczytywać artykuły mające się pojawić w dzienniku *Town Topics* i wydawać opinię, czy treść ich nie jest karygodną. Za to pobierał oprócz dywidendy 6.000 koron rocznie.

Złośliwe twierdzenie. *Nowa Presse* doniosła tymi dniami w artykule omawiającym zachłanność przemysłu galicyjskiego, że pewna firma polska porwała się na zbudowanie hali żelaznej na dworcu głównym we Lwowie, przekonawszy się jednak niebawem, że tego dokonać nie może, odstąpiła tę budowę firmie niemieckiej, zadowoliwszy się tylko niewielkiem faktorstwem.

Owóż wszystko to jest nieprawdą. A jak się rzecz miała w istocie, dowiedzą się czytelnicy *Nowej Pressy* ze sprostowania, które będzie ona musiała tymi dniami zamieścić pod rygorem prawa, a które będzie tak opiewało:

„Budowy hali dworcowej we Lwowie nie podejmowała się „pewna firma galicyjska", ale konsorcyum złożone z zakładów Witkowickich, fabryki wagonów w Sanoku i fabryki maszyn L. Zieleniewski w Krakowie. Konsorcyum to złożyło jedną wspólną ofertę. Ofertę tę przyjęto jedynie z tego powodu, ponieważ podana cena była ze wszystkich najniższą. Dostawa podzieloną była na cztery zupełnie równe i jednakie części, z których dwie wykonały zakłady Witkowickie — zaś po jednej fabryka w Sanoku i firma L. Zieleniewski. Obie fabryki galicyjskie wykonywały zatem ściśle tę samą pracę co zakłady w Witkowicach i wykonały konstrukcye im powierzone zarówno ciężkie, jak lekkie zupełnie samodzielnie i bez wszelkiej pomocy.

Nadzór nad całą budową powierzało konsorcyum podpisanemu, gdyż zarówno ogólny projekt, jak wszelkie plany i rysunki szczegółowe wykonane były w biurze technicznem fabryki L. Zieleniewski w Krakowie.

Edm. Zieleniewski,
inżynier cywilny, członek państw. rady przemysł."

Ofiara na rzecz sztuki. Jakiś nieznany dobroczyńca ofiarował miastu Mannheim w Niemczech 850.000 marek na utworzenie galeryi obrazów w tem mieście.

Rzeź w Niżnym Nowgorodzie. Do Petersburga nadeszła wiadomość o strasznych wypadkach, które rozegrały się w ciągu dni ostatnich w Niżnym Nowgorodzie. Armia nożowców rozpoczęła rzeź inteligencyi. Bito bez różnicy wszystkich ubranych po europejsku, wpadano do domów prywatnych. Kilkadziesiąt osób, mnóstwo urzędników, kobiet, nawet ciężarnych, ucierpiało w ciągu tych dni krwawych. Gubernator Unterberger przybył osobiście celem uśmierzenia zaburzeń i sam był świadkiem rzezi. W mieście straszny popłoch. Mieszkańcy pośpiesznie wyjeżdżają. Władze przystąpiły do śledztwa z powodu opisanych wypadków.

Ze statystyki We Lwowie od 1 stycznia do 30 czerwca br., a więc w ciągu pierwszego półrocza umarło ogółem 2438 osób, co stanowi śmiertelność 28·1 na tysiąc. W tej liczbie umarło 54 osób na choroby zakaźne; mianowicie: 16 na dyfteryę, 3 na koklusz, 17 na szkarlatynę, 4 na kur, jedna na tyfus plamisty, 9 na tyfus brzuszny, jedna na desynteryę i trzy na gorączkę połogową. Lwów liczył w tem półroczu 173.467 mieszkańców stałych.

W Krakowie umarło w tem półroczu 1667 osób, co stanowi 33.8 na tysiąc mieszkańców. W liczbie tej umarło 85 osób na choroby zakaźne mianowicie: 20 na dyfteryę, 7 na koklusz, jedna na ospę, 15 na szkarlatynę, 12 na kur, 8 na tyfus plamisty, 13 na tyfus brzuszny, jedna na desynteryę, ośm na połogową gorączkę. Kraków liczył w tym czasie 98.591 mieszkańców.

W Wiedniu umarło w ciągu tego półrocza 19.675 osób, co stanowi 21 na tysiąc. W tej liczbie umarło na choroby zakaźne 973 osób, mianowicie 250 na dyfteryę, 56 na koklusz, 69 na szkarlatynę, 468 na kur, 24 na tyfus brzuszny, 3 na desynteryę i 103 na gorączkę połogową. Wiedeń liczył w tym czasie 1,897.630 mieszkańców.

Śmiertelność na choroby zakaźne wynosi tedy w tych trzech miastach we Lwowie 2.21%, w Krakowie 5.09% i w Wiedniu 4.94%. Pod względem więc śmiertelności na choroby zakaźne. Lwów zajmuje w znaczeniu dodatniem pierwsze miejsce, pod względem zaś wogóle śmiertelności drugie.

Skutek zjazdu cara z cesarzem Wilhelmem. Z Petersburga przynosi poczta bardzo smutną wiadomość. Oto podobno po powrocie z Björkö car kazał odroczyć na czas nieograniczony ogłoszenie projektu konstytucyi, ułożonego przez Bułygina.

Z powodu zamachu na sułtana rozpoczęły się w Konstantynopolu sensacyjne aresztowania. Sułtan kazał brata swego Reszyda internować w jego pałacu, a szefa tajnej policyi Fehmi baszę złożył z urzędu i skazał na wygnanie do Azyi.

W Rymanowie bawiło do 24 lipca 1770 osób.

Wypadek z automobilem. Z Pforzheim donoszą, że automobil, w którym jechał książę Ernest sasko-weimarski, przewrócił się do rowu na jakimś zakręcie drogi. Książę wypadł z automobilu, przyczem złamał sobie dwa żebra i wstrząsnął mózg. Cztery inne osoby, które z nim jechały, są lekko ranne.

Panna Rooseweltówna u mikada. Z Tokio donoszą telegraficznie, że wczoraj była u mikada na audyencyi panna Alicya Rooseveltówna, córka prezydenta Stanów Ziednoczonych. Po posłuchaniu odbył się bankiet i zabawa ogrodowa. Panna Rooseveltówna zwiedziła także tę część ogrodów cesarskich, która dotychczas była dla cudzoziemców zamknięta.

Syoniści rosyjscy, przybyli na kongres w Bazylei, odbyli w poniedziałek konferencyę, która miała bardzo burzliwy przebieg. W konferencyi brali udział tak syoniści kierunku palestyńskiego, jak i tzw. terytoryaliści i ugandziści. Ostatni domagali się, aby jeden z nich należał do prezydyum kongresu. Konferencya skończyła się bez wyniku z powodu niezgody między obydwiema partyami rosyjskich syonistów.

Na kongres w Bazylei zjechało 330 syonistów palestyńskich, 80 z partyi robotniczej i terytoryalistów, politycznych syonistów zaś 130.

Nowy dom „Orła polskiego" w Brazylii. W zeszłym tygodniu odbyła się w Rio Grande de Sul w Brazylii uroczystość otwarcia domu własnego towarzystwa polskiego „Orła białego". Prezesem Towarzystwa jest p. Józef Pawliński, wiceprezesem p. Witold Białynia Kowerski, zarząd zaś stanowią pp.: Antoni Różycki, Henryk Różycki i Fryderyk Rychecki.

Temperatura dnia 26 lipca o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +17, we Lwowie +16, w Tarnopolu +16, w Czerniowcach +17, w Wiedniu +17, w Salcburgu +16, w Gracu +16, w Pradze +18, w Tryeście +22, w Abbazyi +20, w Raguzie +25, w Budapeszcie +19, w Berlinie +18, w Hamburgu +16, w Monachium +16, w Zurychu +16, w Genewie +18, w Lugano +21, w Anglii +18, w Paryżu +20, w Biarritz +22, w Nizzy +26, w północnych Włoszech +21, we Florencyi +22, w Rzymie +22, w Neapolu +21, w Palermo +25, w Madrycie +23, w Sztokholmie +19, w Petersburgu +15, w Wilnie +15, w Warszawie +15, w Moskwie +16, w Kijowie +17, w Odesie +22, w Serajewie +16, w Belgradzie +19, w Bukareszcie +25, w Sofii +19, w Konstantynopolu +22, w Atenach +25. (Temperatura według Celsiusza).

Deszcze: w Czechach, w Dolnej Austryi, w Niemczech, w Królestwie Polskiem i w północnej Rosyi.

Zmarli. W Stanisławowie Ludwik Dobrzański, starszy oficyał sądowy, w 59 roku życia. — W Hureczku, w pow. przemyskim, Ferdynand Hatschier, właściciel dóbr, w 79 roku życia.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 16 R. w poł. + 21 R., na słońcu + 28 Bar. 766. Spada — prześliczna pogoda.

Nie żądny.

— Proszę przestać pić wino i wogóle napoje, które mieszczą w sobie spirytus... Pij pan mleko, tam znajdziesz wszystkie części składowe krwi ludzkiej.

— Być może, ale ja, panie doktorze, wcale nie jestem żądny krwi ludzkiej.

Na rendez-vous.

Ona. I będziesz mnie wiecznie kochać?

On. Nic trudnego — połowę wieczności już czekałem na ciebie, jedyna!

Widowiska i koncerty.

Colosseum w Pasażu Hermanów. Pierwszorzędny i największy teatr rozmaitości. Od 16 do 31 lipca zupełnie nowy, światowy program familijny. Przedstawienia odbywają się we wspaniale urządzonym ogrodzie, w czasie deszczu w odnowionej sali. Początek o godz. 8 wieczorem. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 pop. i 8 wieczorem.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 25 lipca.

(Z.) Pomimo trudnej sytuacyi, w jakiej znajduje się monarchia skutkiem wypadków węgierskich, czyni ministeryum spraw zagranicznych wszystko, co tylko leży w jego mocy, aby doprowadzić do końca dzieło zawarcia nowych traktatów handlowych. Ze Szwajcaryą odbyła się już wymiana not, zawierających żądania celne obu państw, wczoraj zaś, jak donoszą z Brukseli, wręczono rządowi belgijskiemu spis postulatów celnych Austro-Węgier z prośbą o podanie żądań belgijskich. W najbliższym czasie wysłane zostaną podobne noty do rządów bułgarskiego i serbskiego.

Rząd bułgarski wobec podniesionego przeciw niemu zarzutu nielojalnego postępowania w sprawie dostawy zapałek dla zarządu monopoli bułgarskich, usprawiedliwia się, że nie zawarł jeszcze żadnego układu z rosyjską firmą „Eksport", że wprawdzie przed dwoma miesiącami jeszcze zrobił u tej firmy obstalunek, ale bardzo mały, rozpisana zaś niedawno rozprawa ofertowa na wielką dostawę nie jest jeszcze rozstrzygnięta.

Z Czech donoszą, że skutkiem deszczów podniósł się znacznie stan wody w rzekach, wobec czego nie ma już niebezpieczeństwa przerwy w żegludze. Stan wody w Łabie podniósł się wczoraj o 15 centimetrów.

Wiedeń, 26 lipca.

(Z.) Papiery węgierskie znów odbywają „marsz powrotny" do swej ojczyzny. Kilka razy już w ciągu obecnego przesilenia uwydatnił się ten prąd, gdyż zaniepokojeni posiadacze tych papierów poczęli tłumnie pozbywać się ich. Interwencyi jednak wielkich banków udało się powstrzymać ten prąd i nie dopuścić, by przybrał on za wielkie rozmiary. Po ostatniej jednak wojowniczej mowie hr. Apponyi'ego i po znanej uchwale komitetu wykonawczego koalicyi stronnictw węgierskich znów podaż walorów węgierskich jest olbrzymia, a kurs ich spada. Prądem tym objęte są zarówno renty jak i listy zastawne.

Zresztą przeważała dziś na targu cisza i to zarówno na targu walorów bankowych, jak kolejowych i przemysłowych. Tylko akcye karpackiego Towarzystwa naftowego faworyzowane są obecnie przez spekulacyę giełdową ze względu na bardzo pomyślnie rozwijający się eksport nafty galicyjskiej.

W Berlinie trwa już od tygodnia haussa walorów górniczych, która jednak wydaje się mocno podejrzaną.

Wedle ostatniego wykazu rosyjskiego banku państwowego, cyrkulacya biletów kredytowych w Rosyi przekroczyła już miliard rubli.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU"

(Depesze poranne).

Leodyum. Wczoraj odbyło się ostatnie posiedzenie i zamknięcie międzynarodowego kongresu prasy. Na początku posiedzenia odczytano zaproszenia na przyszły kongres do Medyolanu, Marsylii i Bukaresztu. Uchwalono wybór miasta pozostawić komitetowi.

Budapeszt. Magistrat uchwalił na wczorajszem przedpołudniowem posiedzeniu składać wpłacone dobrowolnie podatki w instytucyi finansowej, którą wskaże reprezentacya stolicy i nie przyjmować wpłaconych naprzód podatków.

Budapeszt. Komisya finansowa preszburskiego magistratu wzywa obywateli do płacenia miejskich dodatków, gdyż według obecnego stanu kasy można pokrywać potrzeby miasta najdalej do dnia 15 sierpnia.

Budapeszt. W kongregacyi komitetu szemplińskiego oświadczył hr. Juliusz Andrassy, że wprawdzie obecny rząd jest nielegalny i nie można go uznać, to jednak organy komitatowe muszą wypełniać ustawowe wezwania rządu, a więc wezwania wojskowe należy stronom doręczać, z wyjątkiem tych, które wzywają do służby bez podania stałego terminu jej trwania, celem uzupełnienia brakującego kontyngentu rekrutów, co jest sprzeczne z ustawą.

Bazylea. Dziś otwarto tu kongres syonistów.

Londyn. Wiadomość, że angielska eskadra kanałowa ma w sierpniu i wrześniu krążyć po morzu Bałtyckiem, jest prawdziwą.

Chrystyania. Jak słychać, rząd zamierza zaproponować storthingowi, aby przez głosowanie ludowe uzyskano postanowienie w sprawie unii z Szwecyą. Głosowanie to odbędzie się prawdopodobnie dnia 13 sierpnia.

(Depesze popołudniowe).

Petersburg. Osoby, które jeździły w świcie cara na zjazd do Björkö, opowiadają następujące szczegóły z tego zjazdu. Monarchowie umówili się z sobą, że zjadą się wieczorem w porcie wyspy Björkö. „Gwiazda polarna" przybyła do tego portu o g. 8-mej wieczorem, „Hohenzollerna" jeszcze nie było. Car, brat jego wielki książe Michał jakoteż cała świta w mundurach kapiących od złota, czekała na pokładzie na przyjazd „Hohenzollerna". Czekali godzinę, półtorej, dwie, lunety skierowując we wszystkie strony morza, ale nigdzie ani śladu „Hohenzollerna". Zimno zaczynało coraz bardziej dokuczać, wiatr wiał coraz ostrzejszy, głód także dawał się we znaki, a „Hohenzollerna" jak nie było tak nie było. Wreszcie po godzinie dziesiątej, pomimo że było między monarchami ułożoną rzeczą, iż cesarz Wilhelm z całą swą świtą będzie tego wieczora na obiedzie u cara Mikołaja, car dłużej czekać nie chciał i kazał dawać do stołu. Świta przyjęła z radością ten rozkaz i wszyscy czemprędzej udali się do sali jadalnej. Byli już przy deserze, i car zaczął obierać morelę, kiedy wpadł do sali jadalnej drugi kapitan „Gwiazdy polarnej" i zaraportował, że „Hohenzollern" zarzucił w pobliżu kotwicę. Powstano więc od stołu i udano się na pokład. Na „Hohenzollernie" muzyka zagrała hymn rosyjski.

Po pozdrowieniach, które flagami oddały sobie nawzajem okręty, cesarz Wilhelm wsiadł ze świtą do łodzi, którą wiosłowało dwudziestu czterech majtków, i przybył do schodów „Gwiazdy Polarnej". Po chwili monarchowie rzucili się sobie w objęcia, nastąpiło przedstawienie świt i powrót do sali jadalnej, którą tymczasem przyprowadziła służba do należytego porządku. Cesarz Wilhelm usprawiedliwił się ze spóźnienia mimowolnego, wynikłego z jakiegoś zepsucia się maszyny „Hohenzollerna". Nim ją naprawiono, stracił okręt dwie godziny. Chciano podawać obiad od początku, ale cesarz Wilhelm zaprotestował i przyznał się, że tak był głodny, iż zjadł już obiad u siebie na statku. Podano więc czarną kawę, likiery i cygara; obaj monarchowie byli w doskonałym humorze, żartowali i dowcipkowali i tak spędzono czas do godz. 12-tej. Wtedy cesarz Wilhelm wstał i zaczął się żegnać, ale car odpowiedział, że już kazał przygotować mały parostatek i odprowadzi go sam na „Hohenzollerna". Na to cesarz Wilhelm odpowiedział, że zaprasza cara do siebie na kolacyę.

Z gośćmi niemieckimi odjechali więc car i w. książę Michał, reszta świty rosyjskiej pozostała na „Gwieździe Polarnej".

O godz. 2-ej w nocy car wrócił z „Hohenzollerna".

Nazajutrz rano o godzinie 8 przybył cesarz Wilhelm na „Gwiazdę Polarną" i razem z carem i bratem jego w. ks. Michałem zasiadł do śniadania. Świty śniadały w sali na przednim pokładzie. Monarchowie ogromnie długo byli przy stole. Przez okna sali jadalnej mogli członkowie świty obserwować ich jak w trójkę: dwaj cesarze i przypuszczalny przyszły regent Rosyi żywo ze sobą rozmawiali. Członkom świty wydawało się, że patrzą na jedną z najważniejszych kart współczesnych dziejów, ale przeczytać jej treści nie mogą. Nic bowiem nie było słychać z tej rozmowy, zwłaszcza, że zatrzymywać się pod oknami nie wypadało. To tylko wiadomo, że rozmowa toczyła się po francusku.

Wszyscy trzej pili kawę białą, jedli przytem szynkę, suszone ryby, sery i owoce. Śniadanie to trwało przeszło dwie godziny. Około pół do jedenastej wyszli monarchowie z sali jadalnej, wsiedli do łodzi i pojechali obejrzeć pancernik „Berlin", który towarzyszył „Hohenzollernowi". O pół do drugiej wrócili na „Gwiazdę Polarną". Byli w doskonałych humorach. O drugiej zasiedli do śniadania, które trwało do godziny 5. Podczas śniadania rozmawiano tylko w języku francuskim; dowcipkowano, śmiano się i niktby nie przypuścił, widząc tych monarchów, że na świecie dzieją się jakieś straszne wypadki.

O 5ej monarchowie się pożegnali, cesarz Wilhelm wrócił na „Hohenzollerna," muzyka zagrała na „Gwieździe Polarnej" hymn niemiecki, a w kilka chwil potem oba statki podniosły kotwicę. „Gwiazda Polarna" jechała jakiś czas równolegle z „Hohenzollernem" i „Berlinem", poczem dała sygnał pożegnalny i zawróciła do Peterhofu, dokąd przybyła o godzinie 10 wieczorem.

Car podczas powrotu był w doskonałym humorze, a to tem większą sprawiało świcie przyjemność, że wszyscy się obawiali, że będzie napewno w złym humorze.

Wiedeń. Ponieważ upłynął okres urzędowania przewodniczącego i członków lwowskiego kolegium rzeczoznawców w sprawach autorstwa w zakresie muzyki, minister oświaty zamianował na lat 6 przewodniczącym tego kolegium Władysława Żeleńskiego, dyrektora konserwatoryum krakowskiego; zastępcą przewodniczącego Mieczysława Sołtysa, dyrektora konserwatoryum lwowskiego; członkami: Wiktora Barabasza, dyrektora Tow. muzycznego w Krakowie, dra Franciszka Bylickiego, profesora III gimnazyum państwowego w Krakowie; Jana Galla, kompozytora we Lwowie, oraz nauczycieli konserwatoryum lwowskiego Franciszka Neuhausera, Stanisława Niewiadomskiego i Franciszka Słomkowskiego.

Warszawa. *Kuryer warszawski* donosi, że dyrektor kolei warszawsko-wiedeńskiej wrócił z Petersburga i zarządził, że w biurach kolejowych ma być język rosyjski językiem urzędowym, a używanie polskiego języka dozwolone jest tylko w obcowaniu z polską publicznością; bilety jazdy i wszelkie napisy na kolei mają być wygotowane w obu językach.

Warszawa. We środę wieczorem na ul. Wolskiej przyszli do kamienicy pod l. 22 jacyś ludzie i zapytali stróża nazwiskiem Sobkowskiego o jakiegoś mieszkańca. Gdy stróż czytał listę lokatorów, jeden z przybyłych zadał mu nożem cios w szyję, tak, że śmierć nastąpiła natychmiast. Sprawcy zbiegli.

W tymże czasie na ul. Targowej na Pradze zasztyletowano znanego złodzieja Kaczorka.

O godz. 7 wieczorem tegoż dnia przy ul. Ząbkowskiej napadło kilku mężczyzn na organistę Stryckiego i zadało mu sztyletem 6 ran. Stan jego groźny. Mordercy uciekli.

Budapeszt. *Egyetertes* ogłasza interwiew z ministrem spraw wewnętrznych Christofym o kwestyi powszechnego głosowania. Minister oznajmia, iż hr. Tisza przygotował już bardzo wiele do reformy wyborczej. Christofy nie uważa, iżby obawy były uzasadnione, że powszechne głosowanie wprowadzi wielu Rumunów i Słowian do sejmu węgierskiego. Minister jest zwolennikiem tej reformy wyborczej, która wiele nowych elementów wprowadzi do życia publicznego.

Paryż. Ambasador francuski w Petersburgu otrzymał we wtorek od rosyjskiego ministra spraw zewnętrznych hr. Lamsdorfa komunikat urzędowy objaśniający zjazd w Björkö. W komunikacie tym donosił hr. Lamsdorf, że zjazd był improwizacyą monarchów i że nastąpił wskutek inicyatywy cesarza Wilhelma.

W tutejszych kołach politycznych utrzymują, że cesarzowi Wilhelmowi szło głównie o to, aby się dowiedzieć, jaki może być układ zaczepno-odporny między Rosyą a Japonią i czy w takim razie sojusz rosyjsko-japoński pomnożony przez sojusz japońsko-angielski, a powiększony przez sojusz rosyjsko-francuski nie stanie się wprost klęską dla Niemiec, zupełnie odosobnionych i traktatami związanych jedynie wprawdzie z mocarstwami pierwszorzędnemi, ale nie ze światowemi, bo: z Austryą i Włochami. Owóż podobno cesarz Mikołaj przyrzekł cesarzowi Wilhelmowi, że mu gwarantuje posiadanie Kiao-czau.

Bukareszt. Ajencya rumuńska zaprzecza stanowczo wiadomości berlińskiego *Vorwärts'u*, jakoby rząd rumuński wydał Rosyi dwóch socyalistów, którzy się znajdowali na pokładzie „Potemkina".

Liwerpool. Na dworcu Waterloo zderzyły się dwa pociągi, przyczem 20 osób zginęło, a wiele osób zranionych.

Nowy Jork. Doniesienie, iż Japonia zamierza zarządać odszkodowania wojennego w sumie 5 miliardów franków, nie są bynajmniej oficyalne, lecz ze strony kompetentnej nazwano je jako dopuszczalne.

Petersburg. Minister spraw wewnętrznych zawiesił wydawnictwo pisma *Nowosti* na dwa miesiące.

Poznań. *Dziennik Poznański* donosi, że cesarz Wilhelm przybędzie na mały dworzec w Poznaniu dnia 8 sierpnia rano, uda się stąd samochodem na plac ćwiczeń wojskowych w Biedrusku, a dnia następnego pojedzie również samochodem z Biedruska do Gniezna.

Chrystyania. Na posiedzeniu storthingu przedłożył rząd projekt dotyczący urządzenia głosowania ludowego nad zniesieniem unii z Szwecyą. Głosowanie odbyć się ma 13 sierpnia o godz. 1 według list wyborczych, ułożonych dla ostatnich wyborów do storthingu i w ten sam sposób jak te wybory. Osoby, które już po tych wyborach nabyły prawo wyborcze, powinny same zażądać wpisania na listę. Na kartkach wyborczych może być napisane tylko „tak" lub „nie". O wyniku głosowania ma być jak najszybciej, o ile możności telegraficznie, zawiadomiony departament prawny. Następnie rząd zawiadomi bezzwłocznie storthing o ogólnym wyniku głosowania.

Powyższy projekt rządowy przekazano osobnej komisyi, która natychmiast przystąpiła do obrad.

Londyn. Zderzenie pociągów przy stacyi Waterloo nastąpiło w ten sposób, że elektryczny pociąg ekspresowy, jadący z szybkością 40—50 mil angielskich (= 72 klm. — 91 klm.) na godzinę, w skutek fałszywego ustawienia zwrotnicy najechał na inny pociąg.

Pierwszy wagon pociągu ekspresowego w którym znajdowało się 25 pasażerów, został zupełnie rozbity. 20 osób zginęło na miejscu, reszta leży ciężko ranna pod gruzami.

Linia, na której katastrofa się wydarzyła jest pierwszą elektryczną linią kolejową w Anglii.

Waszyngton. W dobrze poinformowanych kołach słychać, że Japonia żąda uznania Władywostoku za port neutralny i gotowa jest w zamian za to zaniechać urządzenia z Portu Artura twierdzy.

Waszyngton. W kołach dyplomatycznych słychać, że baron Komura objął urząd pośrednika pokojowego tylko pod następującymi warunkami: Przed rozpoczęciem konferencyi musi być zaciągnięta pożyczka japońska, aby módz dalej prowadzić wojnę w razie rozbicia się rokowań; Sachalin musi być obsadzony, marsz na Władywostok rozpoczęty i bitwa w Mandżuryi wydaną.

Waszyngton. Ostatecznie postanowiono, że pełnomocnicy pokojowi obu stron odpłyną dnia 5 sierpnia rano na dwóch krążownikach z Nowego Jorku, będą w Oysterbey śniadali u Roosevelta, popołudniu odjadą do Portsmouth w st. Newhampshire, dokąd przybędą dnia 7 sierpnia.

Tokio. Kupcy tutejsi urządzili wczoraj wieczorem obiad na sposób japoński na cześć panny Alicyi Roosevelt.

Londyn. *Daily Telegraph* donosi, że angielska eskadra kanałowa uda się dnia 28 sierpnia do Swinemünde, gdzie zabawi 3 dni.

HOTEL FRANCUSKI

Przyjechali dnia 28 lipca. M. Banatowski z Krogły. S. Skowroński z Manasterca. A. Kölbl, J. Pollak i M. Weinstein z Wiednia. J. Guliński z Lipska. B. Rappayort, K. Eliasz i L. Gawroński z Drohobycza. A. Tretter z Laszek królewskich. M. Jarosiński z Borszczowa. L. Rado z Budapesztu. L. Frankel z Tarnopola. W. Zeregewicz z Horożanki. W. Żebrocki z Rzeszowa. S. Felddegen ze Lwowa. B. Banatowscy z Bilczy złotej. S. Szaraniecki z Kimpolungu. J. Gold ze Złoczowa.

HOTEL EUROPEJSKI.

Przyjechali dnia 28 lipca. W. hr. Borkowski z Kapuściniec. P. Gniewoszowa z Kontów. Dr. A. Iskrzycki z Sanoka. Z. Jaxa Dobek z Borszczowa. Z. Lewakowski z Drohobycza. L. Berger z Kijowa. C. Żarska z Skwarzawy. P. Michałowska i A. Kossecki z Rosyi. K. Bartmańscy ze Spasa. P. Haszlakiewicz z Dołhomościsk. H. Sauerteich z Bielska.

Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**, 7.20, 11.55 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.00, 11.34, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20***. **1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·45 (od 15/6 do 30/9)
Z Bełzca 5·00.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.15*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**, 6.48, 11.15, 9.28*, 11.24*.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05* (od 1/5 do 30/9).
Do Ławocznego 7.30, 2.55, 6.25*,
Do Bełzca 11.10.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 6.50, 7.50, 9.55, przedpołudniem, tylko w niedziele i rz. kat. święta, 1.46, po południu, tylko w niedzielę i rz. kat. święta 3.05, 4.16 5.00, 7.41*, 8.55* (od 14/5 10/9 włącznie).
Z Janowa: 8.18, 1.15, (od 1/5 do 30/9) 4.32, 8.45* (od 14/5 do 10/9) 9.25* (od 14/5 do 10/9 w niedziele i święta).
Ze Szczerca: 10.10* (od 1/6 do 10/9 w niedziele i święta)
Z Lubienia W.: 11.52* (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta)

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 5.50*, 8.30, (tylko w niedziele i rz. kat. i święta); 12.30, popołudniu (tylko w niedziele i rz. kat. święta) 2.10, 3.20, 6.10; 7.30*, 7.55*.
Do Janowa: 6.55, 9.15, (od 1/5 do 30/9) 1.35 (od 14/5 do 10/9 w niedziele i rz. kat. święta), 3.08, (od 14 maja do 10 września) 5.55.
Do Szczerca: 1.55 (od 1/6 do 10/9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta).
Do Rawy Ruskiej 11·15* (każdej niedzieli).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

35)

Kradzież miliona funtów.

(Opowiadanie starego kawalera.)

(Ciąg dalszy).

— Czy niczego więcej dla ciebie nie mogę uczynić? — spytałem, przypuszczając, że pragnie może przesłać pozdrowienie komu w ojczyźnie, którą tak bardzo kochał.

Zamiast odpowiedzi potrząsnął głową, świadcząc tem, że nikt o niego nie dba. Długo leżał w milczeniu, potem chciał się zrywać, majaczył, szarpał bieliznę na sobie: zaczynała się agonia. Wreszcie oczy otworzył i głosem zmienionym mówił:

— Mała Maud, ona jedna miała do mnie zaufanie. Rad jestem, że jej się te pieniądze dostaną. Ramsay, ty ją jeszcze kochasz. Powinieneś się z nią ożenić, koniecznie.

— Zapóźno już, zapóźno — westchnąłem.

— Nie, pewien jestem, że ją zdobędziesz. Daj mi słowo, że wszelkich starań ku temu dołożysz.

Przysiągłem. Przez długą chwilę słychać było tylko szum wiatru między liśćmi i trzaskanie drzewa w ognisku. Nagle odezwał się znowu głos znękany.

— Ramsay, dziwna to prośba w moich ustach, ale zdaje mi się, że umarłbym spokojniej, gdybyś jaką modlitwę nademną odmówił.

Łza mi w oku zabłysła. Przypomniały mi się czasy chłopięce, gdy modliłem się na kolanach matki. Ze wzruszeniem, z przejęciem zacząłem odmawiać „Ojcze nasz".

Chory powtórzył za mną ostatnie słowa Modlitwy Pańskiej i zdarzyła się rzecz dziwna: On, który przed chwilą leżał bezwładnie, teraz oczy otworzył, podniósł się na posłaniu i głosem zupełnie czystym i wyraźnym zawołał:

— Panie, nic na obronę moją nie powiem. Zdaję się poprostu na Twoje miłosierdzie.

Westchnął, głowa mu opadła na piersi i wydał ostatnie tchnienie.

ROZDZIAŁ IV.

Ocalony.

Długo jeszcze po zgonie towarzysza klęczałem u zwłok jego i modliłem się gorąco za zbawienie tej duszy zbłąkanej. Twarz, w ostatnich chwilach skrzywiona boleścią konania, po śmierci wypogodziła się błogo; wiała z niej słodycz i niewinność. Przypatrywałem jej się długo, wreszcie znużony tym smutnym widokiem, oddaliłem się, aby świeżego powietrza zaczerpnąć. Chodziłem wśród wysokich drzew i krzewów, myśląc o znikomości życia i rozważając moje okropne położenie.

Byłem sam wobec trupa na wyspie odległej i bezludnej z małymi zapasami żywności i bez nadziei szybkiego wyzwolenia.

Rozpacz mnie ogarniała; dla rozerwania myśli postanowiłem zapoznać się ze swojem więzieniem i obejść wyspę dokoła.

Nie była tak rozległą, jak mi się w pierwszej chwili wydała. Naprożno szukałem jakiegobądź pożywienia. Wyspa była niezamieszkana i bezpłodna, woda nie wyrzucała nawet na brzeg ryb nieżywych. Wśród tych poszukiwań dojrzałem przy brzegu jakiś przedmiot niezwykły, który uwagę moją zwrócił. Przybliżywszy się, zobaczyłem, że to była butelka od piwa; podniosłem ją i dostrzegłem, że zawiera jakiś papier. Była mocno zakorkowana i opatrzona pieczęcią.

Usiadłem na gorącym piasku nadbrzeżnym i próbowałem odkorkować butelkę. Zalana była żółtym woskiem i owinięta drutem. Niepodobna było korka wydobyć, rozbiłem więc butelkę o kamień, wyjąłem z niej papier i rozpostarłszy go na kolanie, wyczytałem następujące słowa:

„S. S. Cambermine,

„Trzy dni drogi parowcem od Nagasaki.

„Tym wszystkim, których to obchodzić może.

„Zawiadomamy, że niżej podpisani, odbywający podróż poślubną, są najszczęśliwszymi ludźmi pod słońcem. Proszę o tem pamiętać.

„Reginald i May."

Te słowa, tchnące szczęściem, były jakby zgrzytem ironii w mojem opuszczeniu. Dziwnym zbiegiem okoliczności opływały one morza odległe, aby dostać się w ręce najnieszczęśliwszego człowieka pod słońcem. Wyobraźnia stawiła mi przed oczy obraz tej kochającej pary, widziałem ich pieszczoty, pocałunki, słyszałem tkliwe zaklęcia i zwiększało to jeszcze moją niedolę. Choć nie jestem z natury ani sentymentalnym, ani tkliwym, czułem się dziwnie wzruszony. Łzy mi się w oczach kręciły. Postanowiłem zachować na zawsze to świadectwo cudzego szczęścia w bezwiednej może nadziei, że mi talizmanem będzie.

Po długiej wędrówce naokoło wyspy, wróciłem wreszcie do szałasu. Chciałem koniecznie pogrzebać przyjaciela Venedę. Ale jak? Oprócz długiego noża i paznokci, nie miałem żadnych narzędzi pod ręką. Rozpocząłem jednak robotę. Szła ciężko i po trzech godzinach zaledwie zdołałem dół wygrzebać.

Pozostawało jeszcze trudniejsze zadanie do spełnienia, a mianowicie przenieść zwłoki do grobu. Przemogłem jednak odrazę i wziąwszy trupa na barki, przyspieszonym krokiem dążyłem do miejsca, w którem miały spocząć na wieki.

Ze słowami modlitwy, bardzo ostrożnie złożyłem je do grobu, potem zasypałem mogiłę. Podczas spełniania tych obowiązków chrześcijańskich, czułem chwilami, że mnie opuszcza przytomność, że myśli plączą mi się, jak w głowie szaleńca; to też dokonawszy dzieła, uciekłem co tchu; zdało mi się, że gonią mnie jakieś potwory, że węże oplątają mi się dokoła nóg, że sępy szarpią mi wnętrzności, a kruki mózg dziobią.

Nerwy, rozstrojone tylu dziwacznemi wypadkami, torturowały mnie teraz, jak kat najsroższy. Czułem się bliskim obłędu. Biegałem po wyspie, uciekając przed strasznemi marami rozkiełznanej wyobraźni, wreszcie wycieńczony, zziajany, padłem na ziemię. Teraz dopiero głód się odezwał, zagłuszając inne uczucia.

Jedyną pozostałą zapałką rozniecilem ognisko i zabrałem się do ugotowania ryżu. Tymczasem noc zapadła. Położyłem się przy ogniu i zasnąłem snem kamiennym.

Gdym się nazajutrz obudził, ognisko jeszcze płonęło, bo, wiedząc, że jużbym go nie mógł rozniecić, nałożyłem mnóstwo suchych gałęzi. Przy tym płomieniu ugotowałem znowu ryżu w miseczce, której nam malajczyk użyczył; posiliwszy się jako tako, rozniecilem znowu ogień i wyruszyłem na mój posterunek obserwacyjny, na skale. Rozglądałem się dokoła, lecz pomimo bystrego wzroku, nie mogłem dojrzeć śladu żagli lub komina.

Cóż mnie czekało? Śmierć głodowa. Posiłku mogło jeszcze starczyć na dni dwa, potem rozpocznie się powolne konanie zdrowego, silnego organizmu. Czy mogła być gorsza katusza?

Ja, bogacz, posiadający klucz do olbrzymiej fortuny, musiałem ginąć, jak nędzarz. Byłem krezusem i żebrakiem w jednej osobie.

Wróciłem do ogniska i przez resztę dnia krążyłem dokoła, nadaremnie upatrując jakiego statku na morzu. Roztaczało się ono przede mną niezgłębione, nieubłagane.

Tego wieczora zjadłem ostatnią garść ryżu. Trzeba będzie nadal przymierać głodem, jeśli nie znajdzie się jakiego korzonka, lub pożywnego ziela. Wyruszyłem znowu na poszukiwanie, ale trud to był daremny. Zatoka obfitowała wprawdzie w smaczne ryby — widziałem je w wód przezroczu, ale nie mając sieci ani wędki dostać ich nie mogłem.

Przez cały ten dzień i następny nic w usta nie wziąłem; głód mi szarpał wnętrzności. Co godzinę niemal wdrapywałem się na skałę, ale wciąż naprożno. Jedyną moją troską było podsycać ogień, bo inaczej, gdyby nawet jaki okręt przepływał, nie mógłbym mu dać znaku życia.

Ogarnęła mnie następnie zupełna obojętność na własne losy. Co potem się ze mną działo, nie wiem, zdaje mi się, że miałem chyba gorączkę, bo przypominam sobie, żem biegł wzdłuż wybrzeża i wołałem, że Albinos mnie ściga. Pamiętam dalej, żem leżał przed zagasłem ogniskiem.

Nadzieja opuściła mnie zupełnie, widziałem już, że niczem nie zdołam zwrócić uwagi przepływającego okrętu i coraz częściej myślałem o śmierci, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby wyjść na jej spotkanie i skrócić sobie męczarnie samobójstwem?

Jakkolwiek może się to wydać dziwnem, znajdowałem osłodę w tej myśli. Przychodziła mi coraz częściej, oswajałem się z nią coraz bardziej. Pociechą mi było przeświadczenie, że choć los mój jest okropnym, mogę jednak tortury moje skrócić każdej chwili. Najodpowiedniejszą porą wydał mi się wieczór, o zachodzie słońca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny. **Wacław Masłowski**   Papier z fabryki Braci Fiałkowskich.   Z drukarni E. Winiarza.